

myśli
strzeżone 3



5
polskie
zakrety
Poznań '56



6
gospodar-
stwo
na kijach



11
alarm dla
Biebrzy
akt II



12-13
ludowa
kołyska

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

21

(48)

KONTAKTY

31 V 1981

Cena 4 zł



FOT. JÓZEF LIEBERSBACH

krzyk

DANUTA
i ALEKSANDER
WRONISZEWSKY

STR. 8-9

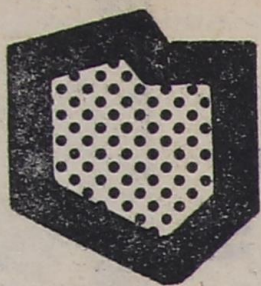
polski dylemat
rachunek
sumienia
nadzieje i zwątpienia

PIOTR KUNCEWICZ — PISARZ,
KRYTYK, PUBLICYSTA

Dylemat, dylemat... Czy w ogóle jakiś dylemat, jakaś alternatywa istnieje? Jeśli nawet tak, to przecież inny to już dylemat aniżeli trzy czwarte roku temu. Bo pewna droga już została wybrana i tylko brutalna przemoc mogłaby, za cenę olbrzymich strat po obu stronach, cokolwiek zmienić. A więc sytuacja musi się rozwijać w jednym właściwie kierunku, chociaż sposobów realizacji może być wiele. Tak czy inaczej, każdy kto chce przewidzieć kierunek zmian, ich tempo i hierarchię potrzeb, musi zacząć od bilansu tego, co się dokonało. Jest to zadanie szczególne, bo zdaje się mieścić w sobie ciągle narastający paradoks. Ow paradoks próbowano definiować już parokrotnie (miedzy innymi w warszawskim klubie Karola Marksa) jako sprzeczność dwu równoczesnych odczuć i pojęć: kryzysu i odnowy. Z tym, że kryzys dotyczy ekonomii, a odnowa — wszystkiego. Jak wiemy — obie tendencje rozwijają się nadal i nożyce są już bardzo rozwarłe. Ale to przecież żaden paradoks po prawdzie: nie można rozchyłać jednego ostrza nożyc...

Polska rewolucja zaczęła się w ubiegłym roku (jak zresztą wszystkie rewolucje świata) od żądań ekonomicznych. Być może gdyby ówczesnemu rządowi udało się je błyskawicznie spełnić, sprawa na tym, lub prawie na tym, by się zakończyła. Przypomnijmy sobie, że zarówno w październiku, jak i po grudniu, w bardzo szybkim czasie przyszła odczuwalna poprawa ekonomiczna, która przerwała proces rewidykacji oraz zmian ideowych i administracyjnych. Dwukrotnie wybuchającą

CIĄG DALSZY NA STR. 4



RZĄDOWY RAPORT O STANIE gospodarki i program stabilizacji przekazane ekspertom — doniosła prasa codzienna. Komentując tę wiadomość Andrzej Mozołowski w artykule „Tajemnice raportu” („Kurier Polski” nr 98) pyta: „A kto niby dotychczas ten raport robił, jeśli nie eksperci? Amatorzy? Wersja przedłożona Sejmowi, faktycznie, amatorszczyzna traci; czyżby rząd nie miał do dyspozycji nikogo znającego się na rzeczy, nikogo, kto zdołałby w ciągu tych 9 miesięcy dokonać dzieła? [...] w ciągu tego czasu, zrobiono nie jedną, lecz 16 (szesnaście!) wersji raportu. Wśród nich bardzo ciekawe, zawierające fachowy, rzetelny i wyczerpujący obraz naszej gospodarczej rzeczywistości oraz niezwykle interesującą analizę przyczyn, które ją do obecnego katastrofalnego stanu doprowadziły... I to właśnie było powodem, że tego rodzaju raport nie miał szans. Rzecz bowiem jasna, że opisać przyczyny kryzysu i opublikować je to tak, jakby wskazać palcem na ludzi, którzy doń doprowadzili czy choćby tylko doń dopuścili, na ludzi za to, co się stało, odpowiedzialnych. Nie wszyscy spośród nich odeszli od władzy”.

„REFORMA, ŁATWA, LEKKA, PRZYJEMNA?” — stawia pytanie Ernest Skalski („Przegląd Techniczny” nr 20) i konkluduje: „Czemu nie z tego nie wyjdzie? Z bardzo prostej przyczyny. [...] Otóż zarówno demokratyzacja, jak i reforma zagrażają życiowym interesom dotychczasowych właścicieli Polski Ludowej i ich plenipotentów”.

CZY MOŻEMY spłacić długi? „Po pierwsze — musimy możliwie szybko zrównoważyć obroty handlowe z krajami zachodnimi i — po drugie — w ciągu 4—5 lat, tj. do 1985 roku, zrównoważyć całość obrotów zagranicznych w dziedzinie towarów, usług i odsetek. Wtedy dopiero będziemy mogli przestać brać dalsze kredyty, kiedy osiągną już one zapewne 34—36 mld dol. — powiedział w wywiadzie dla „Polityki” (dodatek „Polityka—Eksport—Import”) prof. Stanisław Rączkowski, specjalista w dziedzinie finansów międzynarodowych, dodając: — Można by osiągnąć ten stan zrównoważenia bilansu płatniczego prędzej, gdyby udało się zmniejszyć zakupy zbóż i zwiększyć eksport węgla”.

ŻEBY ZWIĘKSZYĆ EKSPORT „czarnego złota”, należy go jednak najpierw wydobyć. Problem: jak wydobywać go więcej — spędza ostatnio sen z powiek nie tylko władzom, ale i samym górnikom. Gotowe rozwiązanie ma natomiast Jerzy Urban (nr 20 „Polityki”): Stworzyć specjalne jednostki wojskowe obrony terytorialnej oparte o zaciąg ochotniczy. Służba w nich oczywiście stanowiłaby dopełnienie obowiązku wojskowego, a powinna trwać tylko jeden rok. Żołnierze pracowaliby w kopalniach w soboty i niedziele po 12 godzin. Pozostałe dni tygodnia poświęcone były-



by na ćwiczenia wojskowe i wypoczynek. Według pomysłodawcy pozwoliłoby to „spłacić całe zadłużenie kraju w ciągu 5 lat. Albo sprowadzić żywność wartości około 500 dolarów rocznie na jedną rodzinę z chłopskimi włącznie”.

„MAJ BYŁ NAJTRUDNIEJSZY. Przez ręce pracowników Wydziału Handlu i Usług UW w Szczecinie przeszło 2,8 mln sztuk kartek o łącznej wadze — trzech ton. — donosi dziennikarz „Gospodarki Morskiej” (nr 97), dodając na zakończenie: — Uff! Co będzie dalej?” Nie wielkiego — urzędnikom da się dodatek za pracę fizyczną i odbierze go za nieudolność organizacyjną. I znów — jak za dawnych dobrych czasów — wyjdziemy na zero.

„KAŻDA OSOBA, która do punktu skupu dostarczy dziesięć kilogramów makulatury otrzyma talon uprawniający do nabycia w roku przyszłym specjalnego, 4-tomowego wydania „Dzieł poetyckich Adama Mickiewicza”. Akcję tę rozpętał ci, którzy uwierzyli, że rzeczywiście brakuje nam makulatury, by można było choć częściowo złagodzić deficyt papieru. Nic z tych rzeczy! W wyznaczonym dniu, już od wczesnych godzin rannych radio i telewizja wołały na całą Polskę: „Ludzie, nie przynosić więcej, bo nie mamy ani miejsca na jej składowanie, ani talonów, które w wielu rejonach »wyparowały« już poprzedniego dnia”. Ekscesów wywołanych przez tragarzy makulatury nie odnotowano — widać ludzie mają jesz-

cze jakieś nadzieje, że następna akcja się uda.

ZDUMIENIE MINISTRA. Jeszcze w latach sześćdziesiątych wydano zarządzenie, które mówi o niepoddawaniu rewizji celnej wielu osób. Są to m.in. posłowie, członkowie rządu do szczebla wiceministra włącznie, wojewodowie. Na plenarnej sesji Konfederacji Autonomicznych Związków Zawodowych, na wniosek NSZZ Pracowników Celnictwa przyjęta uchwałę zawierająca „rzadanie, by premier uchylił to niedemokratyczne zarządzenie. Wniosek przyjął minister Ciosek, który — jak informuje czytelników „Kurier Polski” (nr 99) — wyraził zdumienie że coś takiego istniało, i uznał sprawę za bardzo pilną”.

DO SWOISTEJ KOLIZJI — po czterech latach budowy Centrum Onkologii — doszło między tymże obiektem, a warszawskim Okęciem. „Jako pierwsi alarm podnieśli piloci — donosi „Sztandar Młodych” (nr 117) — 54-metrowy budynek diagnostyczno-badawczy okazał się przeszkodą, której się tu nikt nie spodziewał.” Efekty radosnej twórczości planistów i urbanistów: tak pacjenci, jak i czuła aparatura do ich leczenia i diagnostyki będą na bieżąco kontrolować terminowość odlotów i przylotów hałaśliwych podniebnych ptaków.

NOWE ZMARTWIENIE: dzienny skup mleka wzrósł o 6—8 mln litrów w stosunku do stanu sprzed kilku tygodni i utrzymuje się na poziomie około 26 mln litrów. Wkrótce wzrośnie prawie dwukrotnie, ale co z tego, jeśli nie ma bu-

telek? Część się potłukła, trochę zatrzymały gospodynie, a przydział na II kwartał jest o 5 mln sztuk niższy niż potrzeby. Kłopot jest także z transporterami, których albo nie ma, albo jest za mało. Problem wyżywienia narodu nabiera w świetle tych trudności jakby innego zabarwienia: od przybytku też głowa boli. I nie tylko głowa: „Z ustaleń dokonanych ostatnio przez NIK wynika, że w niektórych rejonach kraju do 80 proc. mleka zanieczyszczone było wielokrotnie ponad wszelkie dopuszczalne normy. Jeśli nadawało się jeszcze do spożycia, to ewentualnie jedynie przez dorosłych i to obdarzonych końskim zdrowiem” — donosi „Życie i Nowoczesność” (nr 566) w artykule Leszka Chmielewskiego „Mleko — co zrobić najpierw”.

ZALOSNY DIALOG. Prof. Adam Gierk stał w obronie krewnego. Na plenum KW PZPR w Katowicach powiedział: „Wiadomo mi, iż jednym z poważniejszych zarzutów jest brak reakcji na wydarzenia gdańskie. Ale czy towarzysze wiedzą, że tylko dlatego doszło do opóźnienia urlopu, zaś wyjazd doszedł do skutku z tego jedynie względu, że ówczesni członkowie Biura Politycznego i Sekretariatu usilnie namawiali tow. Edwarda Gierka do udania się na wypocinek, przedstawiając rodzace się niepokoje w zupełnie innym świetle? Czy towarzysze wiedzą, że po skróconym urlopie zarówno z własnej inspiracji, jak i po rozmowie z jednym z najbardziej uznanych w naszym kraju autorytetów moralnych tow. Edward Gierk trzykrotnie zamierzał udać się osobiście do Gdańska, lecz nie spotkało się to z aprobatą Biura Politycznego, nieodmiennie lansującego pogląd, że są to sprawy rzędu? Planowany wyjazd do Gdańska miał na celu rozładowanie napięcia i osiągnięcie porozumienia przywracającego spokój”. Na tym samym zgromadzeniu zabrał także głos sekretarz KC Zdzisław Kurowski: „Osobiście nie znam postanowienia Biura Politycznego i Sekretariatu, które by zabroniło Edwardowi Gierkowi wyjazdu do Gdańska jak to stwierdził tow. Adam Gierk. Pozycja tow. Edwarda Gierka w Biurze Politycznym była wówczas taka, że tylko od jego woli zależało gdzie i kiedy pojedzie”.

KONCOWYM AKORDEM obchodów 150-lecia Powstania Listopadowego stały się paradowe uroczystości w Ostrołęce, upamiętniające niezwykle krwawą bitwę przesadzającą o losach zrywów powstańczego. Między innymi odbyły się: nadzwyczajna sesja Miejskiej Rady Narodowej i Miejskiego Komitetu FJN oraz sesje historyczne. W miejscach upamiętniających bohaterstwa — przy pomniku Czwartaków Generała Józefa Bema, grobie Generała Indwika Kiekiego złożono wieńce i kwiaty, zaciągnięto warty honorowe. U stóp Mauzoleum Powstańców tysiące mieszkańców miasta i województwa uczestniczyło w mszy (na zdjęciu) celebrowanej przez księdza Tadeusza Zawistowskiego, Biskupa Pomocniczego Diecezji Łomżyńskiej, podczas której poświęcony został monumentalny krzyż i tablica pamiątkowa. W uroczystościach uczestniczyli m.in. przewodniczący NSZZ RI „Solidarność” Jan Kulaj. Wkrótce — fotoreportaż z uroczystości.



PRZYGOTOWANIOM DO IX NADZWYCAJNEGO ZJAZDU była poświęcona wojewódzka narada aktywu partyjnego. Oprócz referujących (wprowadzenie — Waldemar Szpaliński, referat — Waldemar Interwicz, podsumowanie — Waldemar Szpaliński), w dyskusji zabrało głos czterech mówców (Henryk Gryko — szef ZSMP, Janusz Redlin — szef WZIOR, Władysław Karasiewicz — zastępca głównego energetyka ZPW w Grajewie, Mieczysław Rozbicki — szef Wydziału Komunikacji Urzędu Wojewódzkiego).

Niektóre myśli ich wystąpień: „Ciągłe mówi się tylko o błędach popełnionych w przeszłości, mało nato-

miast o konkretnej robocie. Trzeba kształtować świadomość, że nie wszystko zależy »od góry« (Gryko). „Szczegółowe preradagowania wymagają fragmenty Założeń Programowych na IX Zjazd PZPR traktujące o rolnictwie. Są zbyt lakoniczne, zbyt ogólne” (Redlin). „Kodeks Pracy nie dzieli pracowników na fizycznych i umysłowych. Skąd więc te podziały w partii? Nieważne czy wybierzemy »fizycznego« czy »umysłowego« Ważne żeby [...] potrafili biec się o nasze sprawy” (Karasiewicz). „Ja się ze zdaniem poprzednika nie zgadzam. My wszyscy — jak tu siedzimy na sali — jesteśmy trochę zachowawczy. Większy udział autentycznych robotników we władzach partyjnych, wiarygodności partyjnej odnowy” (Rozbicki).

NAWET NAJWIĘKSI optymiści nie przewidzieli takiej radykalizacji poglądów i tak ostrego tempa zmian w życiu wojewódzkiej organizacji partyjnej. Na konferencjach sprawozdawczo-wyborczych strzały krytyki są celne jak nigdy dotąd. Nie oszczędza się nikogo i niczego. Kruszą się

niedawne autorytety wypływają nowi działacze nieprzywykli do biurek i głębokich foteli.

W 23 GMINACH województwa łomżyńskiego dokonano już wnikliwego podsumowania i oceny pracy terenowych instancji partyjnych. W sześciu z nich wybrano nowych I sekretarzy: Zofię Modzelewską — w Sniadowie, Jarosława Grabowskiego — w Goniądzu, Adama Barańskiego — w Zambrowie, Stanisława Kłosowskiego — w Rutkach. Zmiana sekretarza nastąpi również w Kuleszach Kościelnych, gdzie wyłoniono już nowy skład egzekutywy, jednak nie dokonano jeszcze wyboru pierwszego sekretarza. Całkowite zmiany w gminnych władzach partyjnych nastąpiły w Zambrowie.

POMIMO TAKIEGO IMPETU i burzliwych dyskusji z dominacją tematów odnowy, rozliczenia, demokracji w wyborach — nadal na liście delegatów (na 269 wyłoniono już 103) na Wojewódzką Konferencję najmniej trafia przedstawicieli rolniczego stanu. W gminie Szumowo np. nie przeszedł w głosowaniu ani jeden rolnik. A szkoda, bo trudno będzie n-

wet odnowionej instancji partyjnej decydować o sprawach rolników — bez nich.

W WIOSCE INDIANSKIEJ i na terenie miasteczka ruchu drogowego przy ul. Turlejskiego w Łomży 31 maja o godz. 10 rozpocznie się festyn zorganizowany z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka. Gry i konkursy, m.in. kolarski, ze znajomości przepisów ruchu drogowego, na najbardziej piosenkę — to tylko część atrakcyjnego programu, który przygotował Komitet Osiedlowy nr 5 w Łomży.

W DNIACH 26—28 maja br. odbywa się w Ciechanowie „Agrofilmowa wiosna 1981”. W programie m.in.: finał ogólnopolskiego konkursu na „Najlepszego lektora, szkolenia rolnicze”, przegląd najnowszych krótkometrażowych filmów instruktażowych oraz dokumentalnych i publicystycznych o tematyce rolnej, seminarium na temat: „Wieś polska w filmie fabularnym” połączonego z ich projekcją. W wybranych gminach i szkołach rolniczych przewidziane są spotkania twórców filmowych z rolnikami.

Pod koniec stycznia bieżącego roku zwróciliśmy się do 75 członków Wojewódzkiej Komisji Przedzjazdowej z prośbą o wypowiedź dotyczącą najważniejszych spraw partii, a szczególnie jej miejsca w procesie odnowy w Łomżyńskim. Nie otrzymaliśmy jednak ani jednej odpowiedzi. Postanowiliśmy więc odnaleźć adresatów listu i zapytać, dlaczego nie zareagowali na nasz apel?

Pełną treść listu i pierwsze wyjaśnienia opublikowaliśmy w poprzednim numerze. Dziś prezentujemy, pełną szczerości, obrazującą stan ducha wielu członków partii przed jej IX Nadzwyczajnym Zjazdem, wypowiedź Zofii Strzałkowskiej, członkini partii z blisko trzydziestoletnim stażem, pracownicy tkalni Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji Październikowej.

— Czemu nie odpowiedziałem na list redakcji? Nie gniewajcie się: tyle spraw, tyle kłopotów na głowie, tyle przeżyć, że człowiek nie wie, od czego zacząć, co robić w pierwszej kolejności. W czasie mojej ponad trzydziestoletniej przynależności do partii wiele już odnow przeżyłam. Ile ich jeszcze będzie? Na każdej z nich sporo ucierpiał autorytet partii i jej popularność.

Jest mi ogromnie przykro, że ludzie postawieni na świeczniku dopuścili się aż takich przestępstw. Jak mogli przez tyle lat ukrywać prawdę przed wszystkimi, przed narodem, przed partią. Przecież absolutnie nie byliśmy zorientowani. Czułam jednak, że zaczyna się coś dziać nie tak. Pojmowali to także inni, wbrew uspokajającym, radosnym wystąpieniom Edwarda Gierka.

Narastała fala zniechęcenia. Coraz mniej było nas na zebraniach partyjnych, rozłaziła się dyscyplina partyjna, wzrastała obojętność, poczucie bezsilności. Nikt z KW nie pokwapił się zajrzeć do protokołów i przeanalizować sytuację, a przynajmniej, zastanowić się, dlaczego tak się dzieje. W latach pięćdziesiątych takie lekceważenie spraw partyjnych na pewno by nie przeszło. Z miejsca by ktoś przyjechał i sprawę zbadał. W kółko członkowie podstawowych organizacji zgłaszali te same problemy i w kółko nie było na nie żadnej odpowiedzi. Teraz się dziwią co poniektórzy, dlaczego odchodzą ludzie z partii. Ano odchodzą, bo nikt ich nie słuchał. Placili składki. To było ich podstawowe prawo i obowiązek. Z wiatrem przeszło. Z wiatrem poszło. Gdy ja wstępowałam w szeregi partii, to jak pacierz musiałam znać statut PZPR. Egzaminowali mnie z tego jeszcze członkowie PPR, a więc ludzie, którzy naprawdę o tę Polskę Ludową walczyli.

W latach siedemdziesiątych wstąpiło bardzo dużo ludzi do partii. Liczyło się sztuki, dbano o statystykę. Nic dziwnego, iż w większości przypadków nie są to ideowcy czy nawet społecznicy. Takim obce jest zaangażowanie. Dbają tylko, żeby się komuś nie narazić. Zgodni na wszystko. Jeżeli nawet mieli swoje zdanie, to głęboko ukryte, żeby się nie zdradzić ze swymi myślami. Siedzą spokojnie, bo im tak dobrze. Są bezpieczni. Mają swoje fotele, układy. Ci ludzie — to kule u nogi naszej partii, zaprzeczenie jej ideałów.

Z mojej organizacji — jestem w niej członkiem egzekutywy — odeszło w sumie 19 osób. Na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym padło wiele krytycznych uwag także od starych towarzyszy. Co mnie zaniepokoiło: wśród wypowiedzi najmłodszych członków partii dominował nie załatwiony problem mieszkaniowy. A mówiliśmy o tym wiele razy. Niestety, sekretarz Komitetu Zakładowego nie pokwapił się udzielić najmniejszej nawet odpowiedzi. Nie otrzymaliśmy jej także od sekretarza Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR w Zambrowie. Nie wiem, czy w jakikolwiek sposób się tym zajęli. Myślę, że wcale tego nie pilnowali, najwyżej przekazał gdzieś indziej i na tym się skończyło. Teraz są pretensje, i słuszne, że nie miał kto ludzi wysłuchać.

Wśród mnogości poważnych krytycznych uwag były też prozaiczne,

wręcz kompromitujące wypowiedzi. Nadto wyraźnie wpływał brak przekonania, kwitowany zdaniem: „Mogę nie należeć”, „To weźcie sobie tę legitymację partyjną”. Byli też tacy, którzy twierdzili, że są członkami „Solidarności” i dlatego nie mogą być członkami partii. Dziwne to rozumowanie. Wiele musieliśmy tłumaczyć, wyjaśniać funkcje partii i funkcje związku zawodowego.

Nie mam nic przeciw „Solidarności”. Każde działanie, które by polepszyło sytuację w kraju, gotowa jestem poprzeć i uznać jako słuszną. Jedno mnie tylko bardzo niepokoi: dużo żądań, a brak zaangażowania. Mówi się tylko: „Chce-my”, „Dajcie”, ale kto to ma wy-

obecnie w cieniu całą partię. Bo jeżeli w tej chwili jakkolwiek sprawę podejmie „Solidarność”, to jest natychmiast i odpowiedź dyrektora, i odzywają się władze miasta oraz województwa. Ale to, o czym mówimy na zebraniach partyjnych — nawet gdyby nie wiem jak było podjęte i nie wiem jakimi literami w protokole zapisane — to jak groch o ścianę. Na przykład sprawa ciepłej wody na tkalni. Ile na ten temat odbyło się plenarnych posiedzeń Komitetu Zakładowego, Konferencji Samorządu Robotniczego? I nic. Ludzie wychodzili z tkalni, nie mieli się gdzie umyć. Tak ciągnęło się przez miesiące. I dla dyrekcji, i dla Komitetu była to sprawa nie do załatwienia. Ale kiedy zajęła się tym „So-

robi się strasznie. Nie ma podstawowych artykułów, np. proszku do prania. Trzeba się śpieszyć z reformą gospodarczą. Godzi to przecież w higienę osobistą. Zagroza zdrowiu. Gdy idę w kolejkę i czekam, by dostać to jedno, wydzielone, pudełko proszku, to złość mnie ogarnia. Tyle lat pracowałam. Staralam się wykonywać obowiązki zawodowe i społeczne. Teraz dowiaduję się, że mój kraj tonie w długach. Osiąga dno gospodarcze. Podupadło morale narodu. Długo by można mówić, dlaczego.

Wciąż słyszymy o rozliczeniach. O ukaraniu winnych. Czas upływa i prawie nie się w tym zakresie nie dzieje. A, moim zdaniem, ta kara dla winnych — byłych właścicieli Polski Ludowej — jest bardzo prosta: dać im najniższą rentę, te 1200 złotych, jaka przed ostatnimi podwyżkami obowiązywała, i pozwolić im spokojnie żyć. To im wystarczy. Niepotrzebne są tu paragrafy i rozprawy sądowe. Taką właśnie rentę dostawali ludzie, którzy pracowali ciężko wiele lat, i to uczciwie pracowali. Wychowywali dzieci. Żyli w wynajętych mieszkaniach. Im też należy wynajęcie i niech żyją, a sami przekonają się, jak mądrze rządzą. Nie sadzałabym ich za krutki, żeby jeszcze na nich pracować, karmić. Niech sami się rządzą. Niech pożyją!

Sporo jest w moim głosie pretensji. No, nie wiem, czy spotkałby pan teraz kogoś, kto ich nie ma, jak tu same tylko problemy i trudności. To prawda, niektórzy ludzie potrafią je sobie dodawać lub odejmować. Na przykład w 1956 roku (wtedy też mówiliśmy o odnowie, a ja w zakładzie pełniłam funkcję sekretarza) grupa studentów warszawskich uparła się, żeby zdjąć gwiazdę, która wisiała na kominie fabrycznym. Powstał z tego ogromny problem. Pracownicy warsztatu i głównego mechanika chcieli to zrobić w nocy. Poszłam do nich na zebranie i powiedziałam: „Gwiazda to nie jest problem i w ogóle nie jej miejsce na kominie. Nie mam nic, absolutnie nic, przeciwko temu, aby ją zdjąć, tylko proszę dokonać tego w dzień, z zachowaniem wszystkich warunków bezpieczeństwa.” Zdumienie było ogromne. Ściągnęli ją chyba dopiero po tygodniu.

W tej chwili widać to jakies jedno wielkie moralne załamanie członków partii. Każdy z nas ma ten niesmak. Uważam, że naprawić to można tylko przez konsekwentne działanie. Trzeba dać ludziom możliwość swobodnego wypowiedzenia się.

Nie wiem, ile razy można się odnawiać. Co pięć lat, co dziesięć czy co piętnaście? Ja osobiście nie chciałabym dożyć już następnej odnowy. Chciałabym, żeby życie w naszym kraju wreszcie ustabilizowało się i toczyło normalnym trybem.

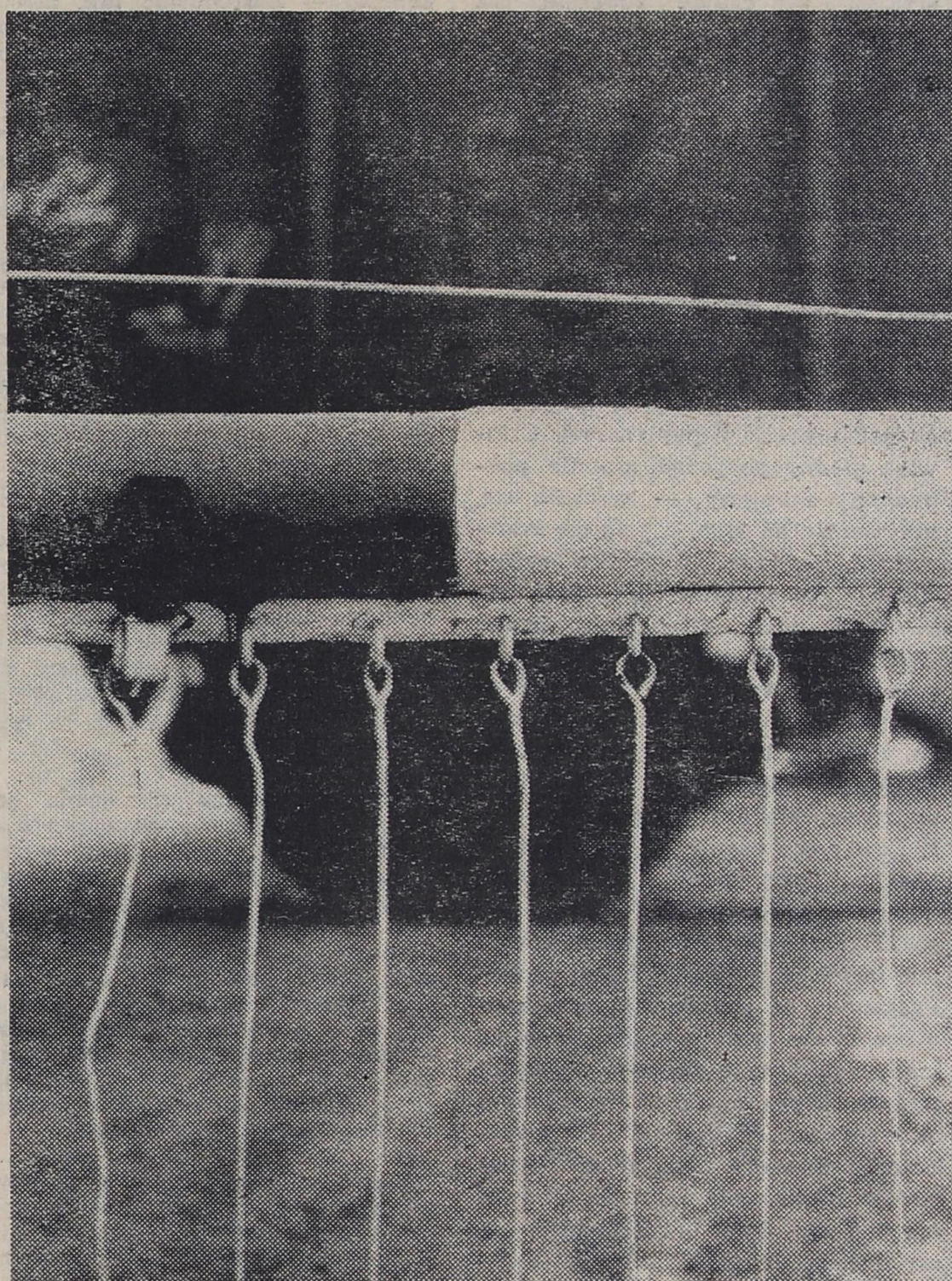
Dużo mówimy o demokracji. Z drugiej zaś strony tłumaczy się: „Nie można tak zrobić, bo przepis nie pozwala”, „Nie, bo tak musi być”. Albo na się stawia się sprawę, albo nie ma dyskusji na ten temat. Nie dominuje rozsądek: robimy tak, bo tak będzie lepiej. Żle się coś robi, później to się ukrywa przed innymi, i tak problemy narastają się. Myślę, że jawność życia partyjnego, jawność autentyczna, powszednia, codzienna, nie dopuściłaby do jakichkolwiek przestępstw gospodarczych. Swoboda wypowiedzenia się pozwala ludziom wymieniać poglądy i wybierać to, co najlepsze. Wprowadza jawność życia, a jednocześnie nie daje nikomu zagubić się. Same organizacje partyjne niczego nie zwojują. Potrzebne im jest wsparcie organizacji społecznych, zaufanie pracujących. Na każde pytanie musi być odpowiedź.

Liczę na rozsądne decyzje IX Zjazdu, nowy statut partii, który nie dopuści, by demokracja była tylko gościem; liczę i na to, że po tym wydarzeniu wszystkie organizacje partyjne otrząsną się i przystąpią do pełnego, autentycznego działania.

Notował STANISŁAW
ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

Z ostatniej chwili: Po sobotniej konferencji Zambrowa ma nowe władze partyjne.

myśli



strzeżone

tworzyć, żeby można było spełnić każde żądanie? Póki co — dyscyplina nie jest najlepsza.

Należę do starych związków zawodowych. Jestem członkiem Rady Zakładowej. Funkcję tę pełniłam też poprzednio. Ponad trzydzieści lat pracy i tyle samo działalności społecznej, piastowania tylu funkcji. Nie mówię o zmęczeniu, ale chwilami mam wszystkiego serdecznie dosyć. Rozumiem: jest trudna sytuacja, ale przeżywamy ją jednakowo wszyscy. A tu są lepsi i gorsi. Ja stoję w kolejce, a na przykład sekretarz Komitetu Miejsko-Gminnego idzie na zaplecze sklepu i załatwia wszystko. Gdzież życzliwość członka partii do innych, gdzie uczciwość? Pięknie mówimy o pracy, a jednocześnie nic nie zmienia się w stosunku do niej: taka sama wydajność, taka sama dyscyplina. Zachęcamy innych, krytykujemy, a sami stoimy na uboczu, aby czasami choć nie przemęczyć się.

Nadal niepoważnie traktowany jest zasadniczy problem życia wewnątrzpartyjnego: kontrola wykonania uchwał. Szybko zapomina się o wnioskach z zebrania POP. Stawia to

lidarność” — ciepła woda znalazła się natychmiast.

Sporo o tym rozmyślałam i dziwię się, dlaczego sprawy, choćby w moim zakładzie, które jeszcze nie tak dawno były — jak nam mówiono — absolutnie niemożliwe do załatwienia, nagle zostały rozwiązane. To ogromnie cieszy, ale i zastanawia. Do „Solidarności” w moim zakładzie należy ponad 90 procent załogi. Nie w ilości tkwi jednak powodzenie. Krzyżeć na zebraniu, a z drugiej strony na swoim stanowisku pracy postępować nie tak, jak trzeba, to sposób, którym socjalizm na pewno nie uzdrowimy.

Dwa słowa o pracy w wojewódzkiej Komisji Przedzjazdowej. Jestem w zespole szóstym, ekonomicznym. Wiele spraw przyszło z terenu, z zakładów. Najwięcej z nich dotyczyło stabilizacji rynku. Regulacji cen. Kształtowania się podaży i popytu. Solidaryzuję się z treścią większości propozycji. Uważam, że sprawy te powinny być śmiało rozwiązane. Nie połowicznie, nie przez podwyżki, ale w sposób rozsądny, kompleksowy. Ceny muszą odzwierciedlać rzeczywiste koszty ich wytwarzania. W sklepie



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

rewolucji zatkało gardło chlebem. Było to możliwe, gdyż sytuacja ekonomiczna świata i obozu socjalistycznego była znacznie lepsza. Tym razem „broni ekonomicznej” nie było po prostu do dyspozycji, mimo że Gierek musiał sobie znakomicie zdawać sprawę z jej użyteczności. A skoro jej nie było, sytuacja mogła rozwijać się dalej.

Nieprowadzenie ekipy Piłkowskiego polegałoby na tym, że nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji braku takiego oręcza, bez którego wszelkie zwlekanie nie mogło dać władzy nic właściwie. A odwrotnie.

Kij i marchewka są współzależne, przy braku jednego nie można posługiwać się drugim. Trzeba zmienić zasadę. Próbuje oporu, mnożąc trudności, upierając się przy jakichś obojętnych w istocie rzeczy, budynkach i rzeczach, szkodyliwych przepisach, wspiera tym samym niezadowolenie społeczne, które jest najniezawodniejszą gwarancją dalszych przemian, a nawet ich radykalizacji. W ten sposób głupi przeciwnik jest najcenniejszym sojusznikiem. Ale już nie cała władza jest przeciwnikiem, i to bodaj jedna z najważniejszych i najcenniejszych zmian sytuacji. A w ogóle da się przewidzieć, że zmiany nie zatrzymają się dopóty, dopóki sytuacja ekonomiczna nie ulegnie wyraźnej poprawie. Czyli — nieprędko. Żle to czy dobrze? Do pewnego momentu na pewno dobrze. Stabilizacja półśrodków, prowizorki, koślawych rozwiązań, byłaby jeszcze fatalniejsza niż brak jakichkolwiek zmian w ogóle. Może jednak zdarzyć się i tak, że osiągniemy optimum zmian, a sytuacja gospodarcza „nie nadąży”. Wtedy, jeśli nerwy i cierpliwość nie dopiszą, może zdarzyć się wszystko.

Zasadnicza zmiana w nastrojach społecznych polega na utrwaleniu się pewności, że zmiany są nieodwracalne. Mówiło się tak również kilka miesięcy temu, ale było to w dużej mierze pobożne życzenie. Teraz mamy pewność. A zmiany są już dzisiaj gigantyczne. To, co byłoby niezwykłą śmiałością w październiku ubiegłego roku, jest dzisiaj naturalne. To efekt niemądrego uporu, z którym po prostu ludzie przestali się liczyć. Na przykład spory o ustawę o cenzurze doprowadziły do tego, że wiele druków i imprez obchodzi się bez niej całkiem.

Niezmiennie ważne zmiany zaszły w partii. Powiedzieliśmy sobie szczerze, że dotychczasową działalność władz partyjnych trzeba ocenić z dwu punktów widzenia. Opieszałość, martwa frazeologia, zupełne niezrozumienie sytuacji, wyrzuciły partii ogromną krzywdę. Jeśli się z wielkim trudem osiąga w negocjacjach formułę o „przewodnej roli”, a następnie czyni wszystko, by dowiedzieć, że jest to jedynie rola hamująca, a co najwyżej — ślamazarna, to normalnych członków partii po prostu się ośmiesza i uniemożliwia im jakiejkolwiek rzeczywiste działanie. „Odbudowa autorytetu” nie polega już na gadaniu, ale na realnych posunięciach demokratycznych. Należy natychmiast realizować reformę ekonomiczną. Ale o tym, co trzeba, nieco później.

Jest jednak i druga strona medalu. Zwolnienie tempa zmian ma pewną, bardzo istotną zaletę — pozwala niejako „dojrzeć” naszym sojusznikom, zrozumieć, że nie są to jakieś awanturnicze, „kontrewolucyjne” posunięcia, ale żywiołowy ruch całego społeczeństwa, niesłychanie poważny i zdeterminowany. To zrozumienie nie wszędzie jeszcze ostatecznie zwyciężyło, ale wyraźnie toruje sobie drogę. Jest to, niezbyt chciwa, pochodna działalności konserwatystów.

Utrwały się też nowe struktury społeczne. Powstała „Solidarność” wiejska, przy czym władza zainkasowała kolejną porcję utraty autorytetu. Nie dlatego, oczywiście, że „Solidarność” wiejska powstała, tylko dlatego, że musiała powstawać w walce przeciw konserwatystom i opieszałcom.

Zmienił się język społeczny, co także nie całkiem dotarło do świadomości ludzi za wiele odpowiedzialnych. Powszechna nienawiść do sparcia frazeologii jest tak wielka, że duże resentymenty budzi np. słowo „socjalizm” u tych właśnie, których program jest niemal całkowicie z ducha socjalizmu. Tymczasem przywiązanie do słów z pominięciem ich ducha powoduje, że różni działacze nie mogą rzec „odnowa” bez przymiotnika „socjalistyczna”, nie czując zupełnie, jak bardzo socjalizmowi tym szkodzi. Bo żyjemy już w innym świecie, w świecie innych realiów i wyobrażeń.

Do tego nowego świata należą także półki bardziej puste niż kiedykolwiek. A czego nie staje na półkach, to się odnajdzie w nerwach. Do tej pory i tak społeczeństwo okazało się niezmiennie odporne i spokojne, chociaż nastąpił ogromny wręcz spadek jakości życia. Ale niebezpieczną kropką mogą się okazać niedobory papierosów. Człowiek głodny po prostu słabnie, pozabawiony nikotyny — wścieka się, niezależnie od tego, czy to się komu podoba, czy nie. Wszystko razem sprawia, że zaczyna się szukać odpowiedzialnych. Niebawem ironią losu „druga Polska” nabrała zgola odmiennej jakości. Nie jest to już pomnożenie majątku narodowego, ale krag ludzi, który takie hasło kiedyś lansował, doprowadził kraj do ruiny. Może trudno mieć — po ludzku rzecz biorąc — pretensję do obecnych przywódców, że nie spieszą się ze stołem i szafotem w stosunku do byłych zwierzętników i przysięgów. Ale ludzie łakną krwi. Przyznam, że jest to dla mnie osobiście niezmiennie gorzkie i bolesne, kiedy oglądam tę powszechną żądzę zemsty, kryjącą się za niewinnym określeniem „rozliczenie”. Owo rozliczenie bowiem niczego nie nareperuje, niczego nie poprawi, a nawet nie wyjaśni. Tym bardziej to smętne, że głosy te należą do ludzi uważających się za chrześcijan i demonstrowujących swoją dewocję. Ewangelię ci „chrześcijanie” chyba nie czytali.

Konsekwencje będą zapewne złe. Już dzisiaj atmosfera bywa obrzydliwa; to nieustanne szpiegowanie, serdeczna pasja w oskarżaniu sąsiada, lawina anonimów, podejrzliwość w stosunku do wszystkich. Co się może zdarzyć, kiedy będzie zrobiony oficjalny początek? Jakim pasjom otworzy się tam i jak się te pasje wyrażą? Wyobrażam to sobie, ale obraz jest tak koszmarny, że wolę o nim nie pisać. Pożyjemy, zobaczymy — i tak dostatecznie wcześnie.

Sprawa jest zresztą sekata. Na ogół nie bywa tak, że jest winny tylko jeden człowiek. Gierek podejmował absurdalne decyzje, ale czy my wszyscy nie cieszyliśmy się z drugiej Polski, czy nie pragniemy rozwoju przemysłu, szos, kolorowej telewizji i tak dalej?

Z drugiej zaś strony — dezinformacja, zakłęty krag fikcji itd., to nie są odkrycia ostatnich dziesięciu lat. Powiedziałbym, że nawet mniej ich chyba było niż przedtem... Ale

głos rozsądku nie będzie dzisiaj wysłuchany. Ani głos przebaczenia. Chyba że będzie to głos Kościoła — na co, przyznam, odrobinę liczę.

Prawdziwe winy fikcyjnego socjalizmu polegały chyba na czym innym. Zaczęło się od zwyczajnego sfalszowania Marksa, u którego przejście do socjalizmu było nade wszystko warunkowane tym, że nowy ustrój będzie produkował więcej i ekonomiczniej. To się, naturalnie, nie zgadzało, wobec czego trzeba było, z jednej strony, nieustannie lakierować rzeczywistość, z drugiej — postępować tak, aby oporni mieli się coraz gorzej, nie bacząc na to, że coraz gorzej miało się całe społeczeństwo.

W myśl tego spreparowano całe ustawodawstwo społeczne i całkiem już konsekwentnie, choć obłudnie, niszczone każda inicjatywę, która nie była inicjatywą „góry”. W rezultacie owa „góra”, choćby i była nadludzko mądra, nie mogła zastąpić myślenia całego społeczeństwa. Niestety, zatrute ziarno wydało za truty owoc; jak się wydaje — niebystro jesteśmy w tej chwili zdolni do samodzielności, a w każdym razie musimy się jej uczyć. Nie tak łatwo to idzie. Niektóre zebrania — równie dobrze partii, „Solidarności”, jak i inne zamieniają się wręcz w pandemonium formalistki i spięrzonych zastrzeżeń, którym nikt nie potrafi postawić granicy. Coś podobnego działo się w pierwszym Sejmie polskim po odzyskaniu niepodległości, a w konsekwencji doprowadziło do zamachu majowego. Ale, oczywiście, tutaj już analogia się kończy. Oby.

W istocie rzeczy panorama jest już, w stosunku do sytuacji sprzed paru miesięcy, powiedzmy sprzed Bydgoszczy, ogromnie odmienna. Nieżywe instytucje istnieją jakoś tak, jak średniowieczne cechy w renesansie. Są, bo są. Mogą przeszkadzać, szansę pomocy chyba już utraciły. Jeszcze nie tak dawno temu apelowało się do nich o to lub owo — zawsze bezskutecznie. I to się już skończyło. A skończyć się musiało, gdyż „władza” nie posiadała żadnych argumentów poza groźbami.

Warto więc odrobinę zastanowić się nad tym, czego można się spodziewać. Najogólniej — rozwoju instytucji demokratycznych i przywracania prawdziwego ducha już istniejącym. Proces nie będzie łatwy ani bezbolesny. Kto natomiast i jak będzie dominował w nowej sytuacji? Nie chcę tu mówić o roli partii, bo jest to w tej chwili ogromna niewiadoma, a projektów słyszeliśmy już sporo. Trzeba jednak powiedzieć parę słów o „Solidarności”. Czym jest i czym się stanie? Otóż jest czymś więcej niż centralą związkową, ale nie jest partią polityczną, bo jednoczy ludzi o bardzo różnych poglądach. Moim zdaniem — jest to typowa, tradycyjna, polska konfederacja, czyli związek zawiązany dla doraźnej realizacji pewnych celów. Tym celem jest zaprowadzenie demokracji. I w tym punkcie wszyscy uczestnicy „Solidarności” są zgodni z sobą. Jeśli jednak cel zostanie zrealizowany, wyłonią się konkretne i chyba mocno zróżnicowane programy. W pewnym sensie już się tak dzieje. Nie da się *à la longue* utrzymać faktycznej jedności, dziesięciu milionów ludzi we wszystkich konkretnych sprawach. Ot, choćby wolne soboty w handlu i usługach, wygodne dla personelu, są dla reszty społeczeństwa istną udręką. Zachwycamy się postawą polityczną robotników, ale czy będziemy się także zachwycali robotnikiem jako producentem buble?

Mnie osobiście — z natury rzeczy — mocno na sercu leżą losy kultury i mam tu myśli nie najjaśniejsze. To prawda, upadły bariery cenzury, a ich upadek całkowicie stworzy

możliwości nowe. Natomiast jeśli idzie o fundusze, sytuacja nie wygląda tak różowo. Zmieni się dysponent pieniędzy społecznych, — a mimo wszystkich zapewnień — nie wydaje mi się, aby to był dysponent chętnie łączący na cele, z jego punktu widzenia — wątpliwe, na pewno zaś dalekosiędne i nie rokujące bezpośredniej opłacalności. Sytuacja i tak słodka nie była nigdy — każda poważniejsza forma tworzenia jest deficytowa. Wiem coś o tym, jak i dlatego, zamiast esejów i trudnej prozy pisze się recenzje i felietony. Ale lepiej chyba nie będzie. Mamy już przedsmak trudności na przykładzie sportu — przecież znacznie popularniejszego od sztuki. Odmówiono mu po prostu, z wielkim oburzeniem, dalszego dotowania. Można oczywiście dyskutować, czy jest nam potrzebny sport wyczynowy, czy też nie, ale nie można mieć zarazem wyczynu i węża w kieszeni. Podobnie jest ze sztuką.

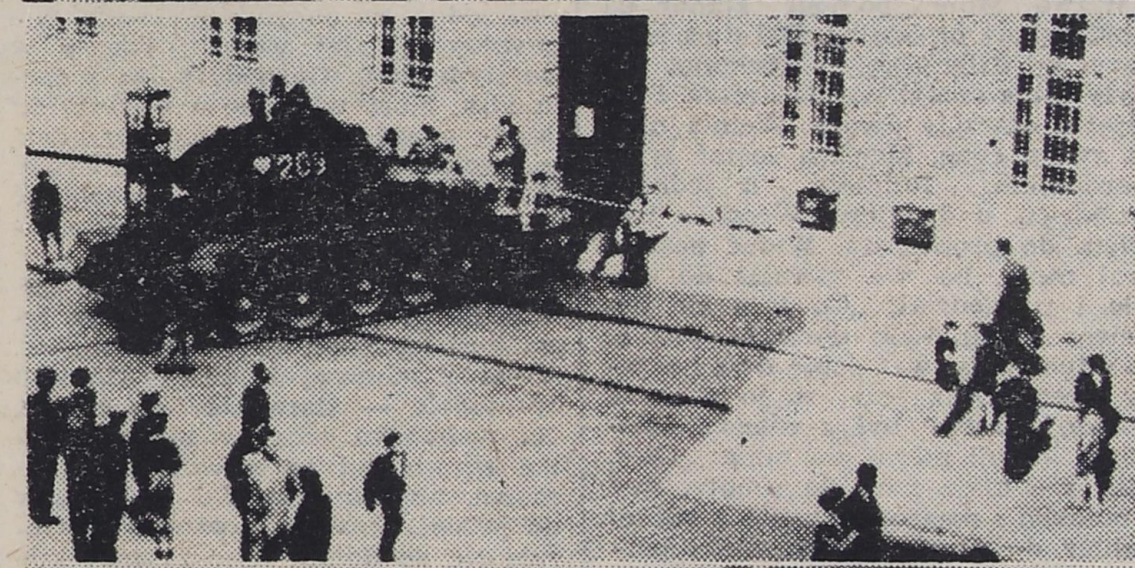
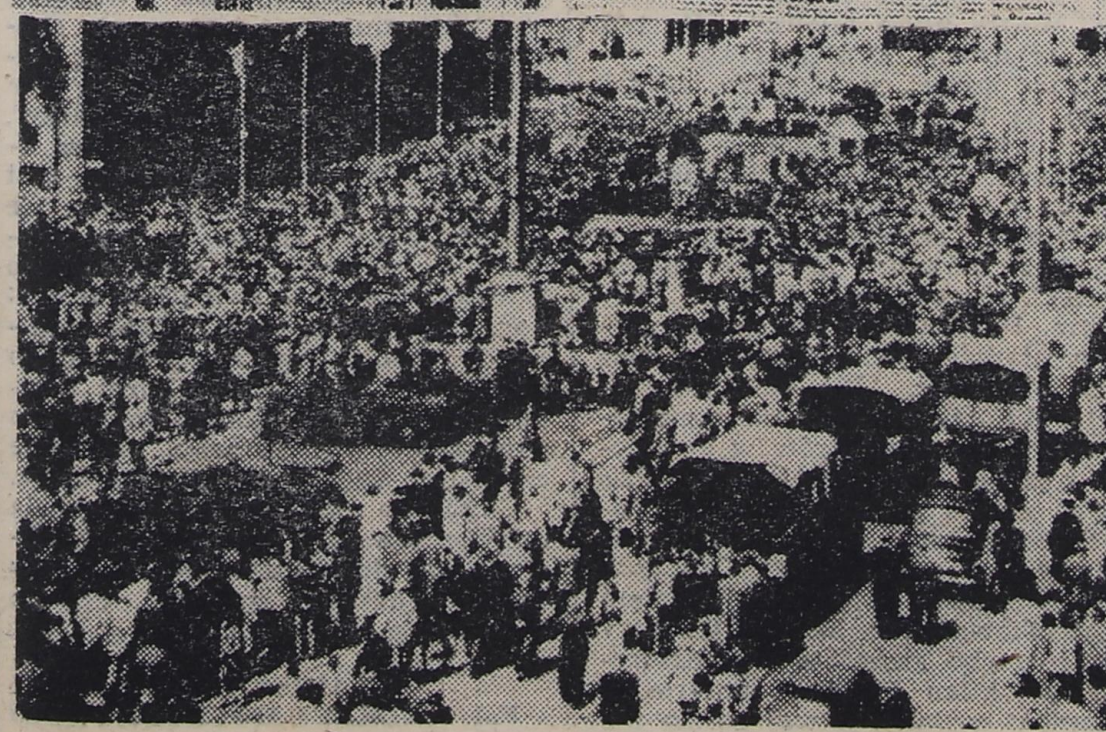
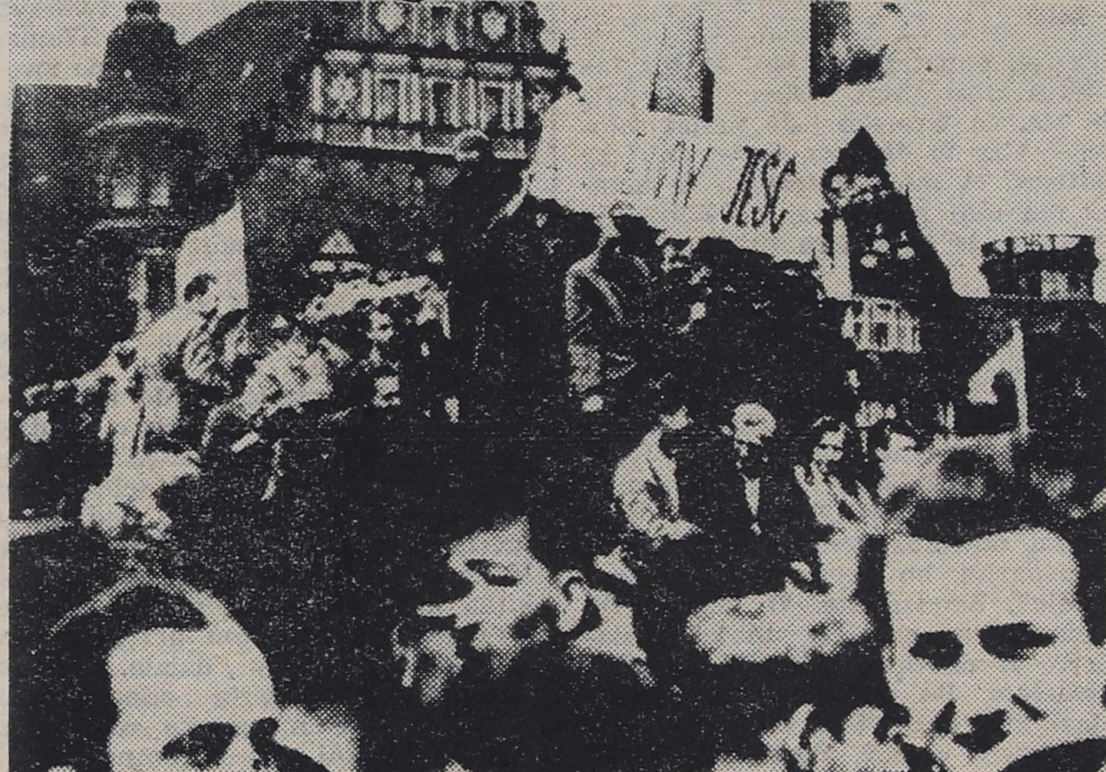
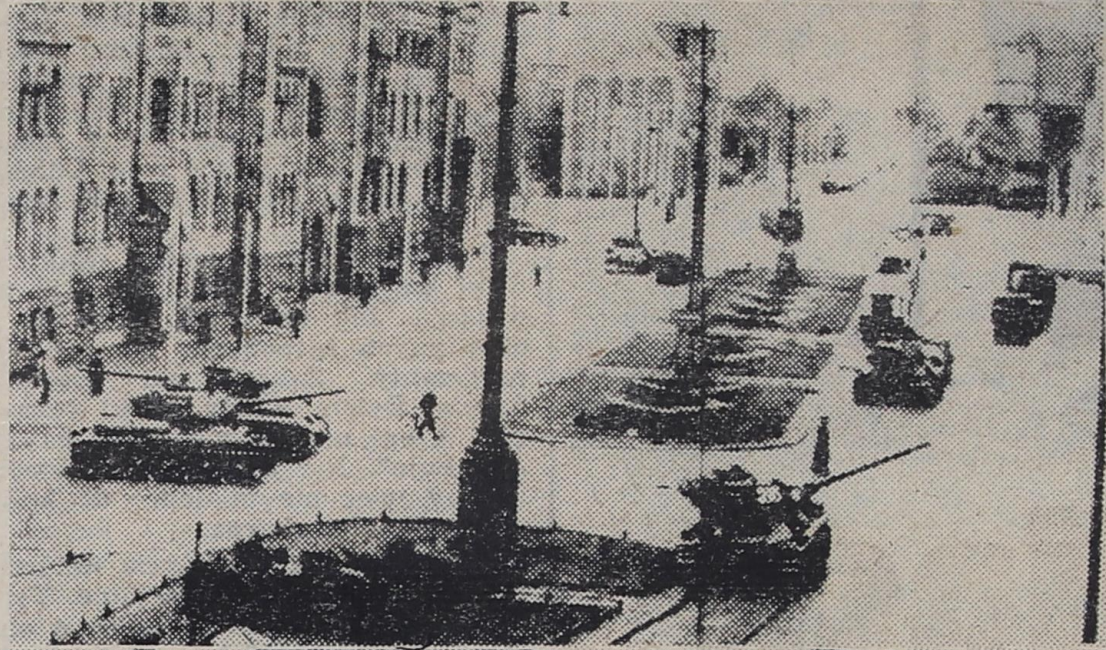
Robotnicy nie wykazywali chyba nigdy nadmiernego zrozumienia dla indywidualizmu. Są po temu, oczywiście, społeczne powody, ale praca robotnika jest przecież wymierna, a praca intelektualna — nie. Ile pracują dzień? Właściwie cały czas, bo przecież lektury są tej pracy częścią niezbywalną. Praktycznie jest to uczenie się przez całe życie i wyduszanie z siebie ciągle rzeczy nowych. W istocie przy „nienormalnym” czasie pracy tyra się na trzy zmiany, bo i sny nie są wolne od problemów jawy... Jakże to opłacić? Na czyje zrozumienie może liczyć awangardowy poeta, eseista, muzyk czy malarz-abstrakcjonista? Sygnały są niepokojące: próba zburzenia pomnika Hasióra w Koszalinie, usuwanie rzeźb abstrakcyjnych z zakładów pracy, zakusy zlikwidowania bardzo dobrego Teatru na Woli na rzecz kina i domu kultury, zamachy na pracownię wzornictwa przemysłowego jako „zbędne” itd. Ironią losu — sztuka abstrakcyjna, tak długo zwalczana przez władzę, została potraktowana niemal jak tej władzy beniaminek... Tak czy inaczej losami twórców pies z kulawą nogą się nie zajmował i nie zajmuje dalej. Warto to powiedzieć wyraźnie i bez ogródek. Co więcej — zaczęły się rzeczy przypominające polowanie na czarownice: próba likwidacji pracowników plastycznych w Poznaniu, a taki na Penderckiego za dom wiejski, czyli zupełnie niezrozumienie faktu, że dom dla twórcy jest po prostu warsztatem i miejscem pracy.

Zobaczmy. Co zaś należałoby zrobić najpierw, wręcz natychmiast? Wydaje mi się, że dwie rzeczy. Natychmiast zrewidować sądownictwo, odrzucić rzeczy będące tylko hańbą, jak „plany grzywny” czy lat wymierzonych. Jak można wymierzać grzywnę komuś, komu zabrakło się wszystkiego? Przecież jest to zwyczajne więzienie za długi. Powinna wyjść natychmiast amnestia likwidująca wszystkie takie wyroki, powinno się też wypuścić nieszczęśliwych skazanych najpierw „na potem” za kradzież na niewspółmiernie długie lata. Każdy dodatkowy dzień to niepotrzebne cierpienie tych ludzi.

Drugą rzeczą „od ręki” jest likwidacja wszelkich ograniczeń rolników i drobnych wytwórców różnego autoramentu, a także usług, prywatnego handlu itp. Bo przy powszechnym odzwyczajeniu od samodzielności właśnie chłop, właśnie rzemieślnicy pozostali wyspą trzeźwej kalkulacji i samodzielności. Trzeba im natychmiast zaufać i, cóż, uczyć się od nich po prostu. A to, naturalnie, tylko początek.

Kończąc ten społeczny rachunek sumienia, jaki zapewne każdy z nas co jakiś czas dla siebie sporządza; nie dlatego, abym wszystko wyczerpał, ale dlatego, że wiem tak niewiele.

PIOTR KUNCEWICZ



polskie zakrety - Poznań 1956

Na pograniczu lasów, łąk i pól uprawnych, w odległości około trzech kilometrów od Perlejewy, ogrodzona wysokimi topolami i drucianą siatką, leży posiadłość Aleksandra Mioduszeńskiego. Luźno rozrzucone, drewniane domostwa zdradzają próbę łączenia dwóch gospodarstw: dwie stodołki, dwie obórki, między nimi piwnica i kurnik, kurnik dla ośmiu, może dziesięciu kur. Zaś zupełnie na uboczu, przy samej leśnej ścieżynie, stoi niewielki drewniany domek. Prawie taki sam, jak w bajce. Nawet z przekreślonym kominem i rzeźbionymi w kwiatki okiennicami.

Każdy młody gospodarz urządzałby tę zagrodę zgodnie z wymogami czasu. Rzuciłby się na duży, może nawet piętrowy dom, olbrzymia chlewnię, komplet maszyn. Pisałby podania, chodził z prośbą do naczelnika, sekretarza partii. Aleksander Mioduszeński nie upomina się o nic. Zdawać by się mogło: chłop-pustelnik. Stare motyki. Stara siekiera. Solidny pień do rabania drewna. Szpadel. Łopata. Ponoć to mu wystarcza, by w gospodarstwie zrobić co trzeba. Liczy tylko na siebie i na swoje dwa sekate kije, które pozwalają mu chodzić. Do gminy. Do eskaeru. Do kościoła. A jeśli czas wolny dopisze i zdrowie — również w odwiedziny do córki Marii: zamienić kilka zdań, pobawić się z pięcioma wnukami, skarcić zięcia za pijaństwo, bałagan na polu, nieroztropność i złe gospodarowanie.

Kupił im siedlisko za 66 tysięcy złotych. Pomógł postawić dom. Podarował dwa hektary ziemi. Trzy krowy. — Niechaj na razie gospodarza na tym — mówi. Naucz się robić, to dostana więcej. Ja gospodarzę na siedemnastu pozostałych hektarach, jak Bóg przykazał i ojciec podpowiadał.

Ziemia to wielki skarb — oparłszy się o węgiel domu wraca po krótkim zamyśleniu do rozmowy. — O nią toczyły się wszystkie wojny. O swoje pole martwił też się mój ojciec. Nie miał dużego gospodarstwa. Mnie pomógł stanąć na nogi ksiądz proboszcz. Dał dwa hektary w dzierżawę. Wtenczas nie były takie czasy, jak dzisiejsze. Perlejewo otaczały dwory. Ziemia miała swoją cenę. Mogłem zostać tylko parobkiem. Robiłem u jednego dziedzica, u drugiego. Wreszcie trafiłem do proboszcza. Widać pożałował mnie, bo raz zawołał do siebie i powiedział: „Co tam się będziesz na dniówki dorabiał. Jak ci to odpowiada, weź sobie dwa hektary ziemi. Dasz mi za to większą kolebę”. Dobry był z niego człowiek. Mówił nieraz do mnie: „Oleś, jeśli nie masz nic do roboty, weź wiaderko i przelewaj wodę z jednej kałuży do drugiej, a nie siedź bezczynnie”. Obecnie, po tylu latach, oddaje mi za to ogromny szacunek. Bo on uratował mnie od lenistwa. Dzisiaj spokojnie nie usiedzę. Ciągłe muszę mieć jakieś zajęcie: to w domu, to na podwórku, to na polu. Cieszę się, że mogę jeszcze chodzić, patrzeć, gospodarzyć.

Teraz specjaliści, tacy wielcy gospodarze — w jego tonie słysze ironię — mówią: „Nie mamy paszy”. Ano, nie macie, bo jesteście głupie. Od najdawniejszych czasów w każdym jednym kraju robiło się rezerwy na nieurodzajne lata. Czy można mieć do Boga o nie pretensje? Przecież w Biblii jak wół stoi, że czasy się przeplatają: po siedmiu latach tłustych nadchodzi siedem lat chudych. I tak musi być. Ale oni chcą być mądrzejsi. Uciekają się do nawozów. A one są dobre, lecz nie na wszystko. Ziemia spożyje ich tyle, aby się najeść. Więcej nie przyjmie. Nieraz sypia, sypia, a wiatr to niesie po sąsiednich polach. Co to udawać w przyrodzie cwaniaka, jak tutaj wszystko jest dokładnie ułożone?

W ubiegłym roku namówili i mnie do tych nawozów. Też podsyłałem pod żyto. Piękne wyrosło: ciemna zielenie, wysokie. Już zaczynałem wierzyć w tę technikę, ale na żniwa przyszły deszcze, burze. Po życie jakby ktoś wałem przejechał. Nawet kombajnem nie mogłem go wykosić. Bo jest tak, jak z człowiekiem: co szybko rośnie, to nagle spada. Pod owies nie dawałem nic, to stał prościutko. Wymachałem go kosą bez kłopotów. Dlatego mówię panu: kiepski ten gospodarz, który nie ma swego pomysłu i liczy na to, że nawozy za niego zrobią wszystko. Ziemię trzeba rozumieć. Przecież wiadomo, że Pan

gospodarstwo



na kijach

Bóg nie jest rozrzutny: gdy w jednym roku da urodzaj, w drugim myśli o czym innym. Burze i grady też muszą któreś przeżyć, jeśli już urodza się w żniwa.

Ja mam cały zasiek paszy jeszcze sprzed trzech lat. Krowy jedzą ją bardzo chętnie, bo to trawa pierwszorzędna, na oborniku wyrosła. Nie wypłukała jej woda, jak te w zeszłym roku. Gospodarz to zegarmistrz, musi wiedzieć o wszystkim: kiedy wstać, kiedy zrobić obrządek, przywieźć drzewa, wywieźć obornik. Nie można za późno rozpocząć żniw ani za wcześnie. Na każde zajęcie musi być swój czas.

Aleksandra Mioduszeńskiego odwiedzałem kilkakrotnie. Zawsze jego gospodarstwo było uprzątnięte. Ubite z sosnowych desek klepisko w stodole — starannie omiecione. Na podwórku znaczny zapas drewna, zgromadził je w wolne dni zimowe, aby wystarczyć od wiosny do jesieni. Śnieżyca szparami wdzierała się do domu, więc zakupił kilka płyt pilśniowych i starannie obili ściany. Początkowo walczył o światło, o naftę, bo do jego zagrody nie docierało światło elektryczne, lecz podczas wypraw do geosu wielokrotnie słyszał od samego prezesa, że na całym świecie jest ogromny kłopot z kupieniem nafty. W podobny sposób skłębowa wybiła mu z głowy światło. Wtedy siedzi spać razem z kurami i budził się wraz ze świtem. Ludzie w okolicy mówili: „Jeszcze nie jest taki głupi. Tysiące policzy co do grosza. Na książeczkę odkłada”. Prezes Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych, Paweł Maćkowiak, wspominał go nawet na roboczej naradzie delegatów kółek rolniczych w Łomży, stawiając kontrolę województwa.

Ale ostatnio ruszył głowa i prezes geosu, i naczelnik, a także sekretarz KG PZPR (choć nie żyje w zgodzie z naczelnikiem). Najwięcej dolażyli do interesu sąsiedzi Mioduszeńskiego, tacy sami koloniści, jak on: uciulali grosza, wpłacili należność. Monterzy z Białegostoku przeciągnęli linie. Mioduszeński podłączył się do niej i teraz jasno ma w całej zagrodzie.

Podczas ostatniego spotkania całą rozmowę przetrwaliśmy na pochwałę elektryczności i lustracji wszystkich zamontowanych żarówek. Gospodarz dumnie kuszył opierając się na swoich — wygładzonych do białości, sekatach — kijach nieczym bociek. Mówił o wszystkim: o rodzinie, o rodzeństwie, ostatnich dniach.

— Kiedy obchodzę teraz moje gospodarstwo, popatrzę na to dziwne jasne światło, to wyraźnie czuję, jak ubywa mi lat. I ból gdzieś ustąpił, i smutek, który nieraz człowieka nawiedzał. Obejdę pola,

miedzę, popatrzę na las. Ja też tak kiedyś szumiałem. Obecnie wydaje mi się, że wracam do mojej młodości. Czy to dlatego, że wiosna czy dlatego? A może rzeczywiście ustąpił ten mój reumatyzm? Zima tak było źle, że myślałem już o najgorszym.

Mój brat Antoni skończył fatalnie. Po raz drugi się ożenił i doczekał się syna. Cieszył się nim bardzo i za dużo mu pozwalał. Gdy ten podrośli, to tak się rozfantazjował, że zaczął skakać mu do oczu. Rękę na niego podniósł. Brat ogromnie się tym zmartwił. Zaczął pić. Wtedy ja mu powiedziałem: „Sprzedaj mi gospodarstwo, bo zniszczysz siebie i ziemię”. Zgodził się. W ten sposób pociągnąłem granicę mojej posiadłości aż do drogi. Dobrze to przemyślałem. Bo gdyby na tę ziemię wlał ktoś obcy, to my by mogli posadzić się ciągać. Powiedziałby mi tak: „Nie należy się tobie tedy przejazd” — i ja nie miałbym do gadania. A tak jeżdżę, którego chce. Nawet w poprzek mogę i nikt mi nie może zwrócić uwagi.

Teraz, żeby córki nie musiały się wiozić po sadach, to Zosi w Olsztynie pomogłem postawić dom. Dostała sto dwadzieścia tysięcy. Zapłaciłem jej po dwadzieścia tysięcy za hektar. Za to córka w Perlejewie, jeśli będzie się dobrze sprawować, dostanie kiedyś cały majątek. Na razie zgodziła się pomagać mi w prowadzeniu kuchni, robieniu zakupów, opieraniu. Zresztą ona też ma swoje sprawy. Córka w Olsztynie mówiła do mnie parę razy: „Niech tatuś sprzeda całe gospodarstwo i przyjdzie do mnie”. Wiem, że tylko na to czeka. Wyciągnęłaby ode mnie pieniądze i bardzo szybko zapomniłaby, że jestem jej ojcem. Teraz, gdy dzieci tylko trochę w mieście posiedzą, już są chytrzejsze, myślała tylko o sobie. Miasto psuje młodzież. Ile tam jest kradzieży, chuligaństwa!

Muszę panu powiedzieć, że tak samo na ten majątek, jak moje dzieci, czeka również gmina. Ona na ojcowskie nie miała odwagi się pchać. A gmina wlaźła bez pytania. Naczelnik, sekretarz, wszyscy w urzędach mówili: „Panie Mioduszeński, przecież pan dostanie emeryturę. Pieniądzy na życie na pewno wystarczy”. Wiedziałem, że chcą mnie otumaniać. Już tak się rozchwalili, że drzewo na ogrodzenie placu wystawy krów w Perlejewie wycinali z mojego lasu. Do dziś nawet grosza mi nie zapłacili. Pomyslałem sobie: „Wy mądrzy, to ja będę jeszcze mądrzejszy”. Cały majątek zapisałem na żonę, a ja stałem się użytkownikiem. Miałem też przy tym i trochę szczęścia w nieszczęściu. Za kilka lat żona umarła, a testament został, i nawet gmina nie

może go ruszyć. Na emeryturę nie wysłał, bo nie mieli jej komu dać: mnie się ona prawnie nie należała. Od tamtego czasu mam z nimi spokój.

Ja mogę stracić dom, inwentarz, ale nie mogę stracić ziemi. Przecież jest cała podstawa do życia. Ziemia to skarb. Ona mnie żywi; ona mnie zabierze do siebie. Praca na niej wypełnia moje wszystkie dni.

Właśnie teraz obornik wywożę na łąki. Chcę, by urosła na nich piękna trawa. Wybieram się do sanatorium. Lekarka załatwiła mi już skierowanie. Mam łąki ogrodzone; wody w balie naleję i pozostanę w zagrodzie moje bydłaki. Te dwa, trzy tygodnie jakoś wytrzymają.

Sąsiedzi podpowiadają, żebym chował psa. Ale po co mi on. Tyle samo zje, co człowiek, a kartek na mięso i na inne artykuły dla niego nie dadzą. Teraz, jak już mam światło, to kupię sobie metalową misę, kuchenkę elektryczną. Czasami odgrzeję mleko, czasami rzucę na wodę kawałek mięsa i ugotuję. Panie, technika nakłania człowieka do lenistwa. Już nie muszę rabać drwa, bo w kuchni nie pale. Chleba też nie piekę. Przynoszę z Perlejewy.

Przeżyłem cztery wojny. Najbardziej w znaki dała mi się ta ostatnia. Jak przeszedł front, to z okolicznych gospodarzy porobili się partyzanty. Zabrali mi ostatnią świnie. Byłem wtedy bliski rozpacz. A oni nie powiedzieli nawet „dziękuję”. Nie było jeszcze wtedy władzy więc nie miałem do kogo zwrócić się ze skargą.

Drugie ważne przeżycie miałem, gdy przybyli do nas Rosjanie. Tylko co zgromadziłem majątek, a oni zaraz dawaj kolchozy tworzyć. Więc ja do przedsiadateła. Thumaczę mu, a on nie. Wyjaśnia po swojemu, że jeśli będę postępował tak, jak oni radzą, to bardzo szybko komunizm zbuduje. Wtedy, jeszcze za bardzo nie wiedziałem, co to znaczy. Chodziłem, prosiłem; jakoś gospodarstwo zostawiłem w spokoju. Ale była taka sprawa: likwidowali dwory. A pan z Wiktorowa podarował mi pięknego konia. Rosjanie dowiedzieli się i nakazali mi go zwrócić. Więc ja znów do przedsiadateła. On swoje, ja swoje. Widzę, że nie z tego nie wychodzi, więc napisałem w ich języku (chodziłem do rosyjskiej szkoły) podanie i wystosowałem do Prokuratury w Moskwie. Czekalem na odpowiedź kilka miesięcy. I, wie pan, sprawę wygralem! Lecz koń przepadł. Na Bugu już grzmiały działa. W tym samym dniu przyszła odpowiedź i zaczynała się niemiecka ofensywa.

Panie, pokój to ogromna rzecz! Przez kilkadziesiąt lat ja ustawiłem swoje gospodarstwo nieźle. Chowałem po pięć, sześć, a nawet siedem dojnych krów, po kilkanaście wółców i bukatów. Teraz kureczą się te liczby, ale w sumie około siedmiu będzie. Mój zięć nie ma takiego pomysłu, jak ja. On tylko szybko, szybko, i wcale nie dba o dokładność. Inna to już jest szkoła gospodarowania i rzadzenia. Kiedyś powiedziałem mu: „Co ja rozumiem i wiem to ty nigdy nie pojmiesz”.

Ostatnio byłem u córki i namawiałem ją na założenie fermy kur. Jeszcze się waha. A ja jej mówię: „To ci się opłaci. Podwórko siatka jest ogrodzone, żadna nie pójdzie do sąsiadów”. Myślę, że jak ze czterdziści, to pięćdziesiąt kur mi wyrosnie, to tyle będę miał pożytku, co i z tych bukatów, więcej jeszcze, bo będą mi się niosły, a teraz jajka w cenie.

Aleksander Mioduszeński ma blisko osiemdziesiąt lat. Wszędzie wzbudza zdumienie i szacunek, chociaż czasami nie kryja sąsiedzi ironicznego uśmiechu: „A co on tam chowa. A jak on tam gospodarzy”. Jednakże jego zasada życiowa — liczenie tylko na siebie — nie jest wcale taka bezsensowna. Chce się po prostu czuć na swoim i nie doznawać nieczylich ingerencji. To prawda, żyje w świecie paradoksów: nogi odmawiają posłuszeństwa, mimo to chodzi; lekarz wysłał go do sanatorium, a choroba akurat ustępuje; w domu, w którym dotychczas panowały o zmierzchu egipskie ciemności, świeci się kilka żarówek.

Chyba do głębi przejął się treścią proboszczowskich słów: o przelewaniu wody do kałuży. A do kałuży czasem deszcz spadnie, czasem uśmiechnie się słońce.

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. ANDRZEJ MOCZYDŁOWSKI





Nie chciałbym, żeby moje słowa, przebrane na papier, traktowane były jak oskarżenie kogoś lub czegoś. Jest to po prostu refleksja młodego człowieka, który ma -naście lat i widzi świat po swojemu, nie tak, jak każą mu dorośli. Może nie zawsze jest to spojrzenie słuszne, ale jest ono własne. Wierzę mi, pisałem to od serca, przede wszystkim jako Polak.

Moja szkoła jest chyba taka sama jak inne: szara, przeciętna, produkująca (to najważniejsze słowo) układne, wylizane i opawione w ramki kostki, którym przyklepia się etykietkę z nazwą asortymentu — absolwent Liceum Ogólnokształcącego z maturą. Kostka jest nauczona wkuwać regułki, mówić sloganami i patrzeć przyniżnym wzrokiem na profesora. Wśród profesorów czai się lęk i jednocześnie pojawia się ulga. Lęk przed tym, czy nowi ludzie, chodzący w bramy szkoły, dadzą się ułożyć szybko, czy potrwa to dłużej. Ulga dlatego, że co bardziej niepoprawne elementy opuściły już szkołę i z papierkiem w ręku wyszły w świat. Kolejny numer w kartotece i w statystykach. Bezduśne cyfry podwyższające procenty „naj...”. Poziom wiedzy, kultura osobista, inteligencja. Z tą ostatnią jest najwięcej trudności. Przecież zasób wiedzy nie zawsze idzie w parze z poziomem inteligencji ucznia, studenta, a wreszcie człowieka zatrudnionego na odpowiedzialnym stanowisku.

Co robić, aby osobowość człowieka — ucznia — nie została wypaczona? Aby wartościowe jednostki nie były przyklepywane do poziomu obowiązującego w danej sytuacji? Oczywiście jest, że profesor woli ucznia, który się „nie wychyla”, nie zadaje kłopotliwych pytań, świadczących o jego logicznym myśleniu. Kiedyś zapytałem panią od biologii o jakiś problem wykraczający poza ramy szkolnego programu nauczania. Jakież było moje zdziwienie i rozgoryczenie jednocześnie, gdy otrzymałem odpowiedź: „To nie należy do naszego poziomu wiadomości. Ja przekazuję tylko to, co zawiera podręcznik”. Pytam się więc, gdzie szukać pomocy i wyjaśnień? Podobne sytuacje zdarzyły się z innymi nauczycielami. Nie próbuję podrywać czyjejś autorytetu. Domagam się tylko rzetelnej wiedzy u nauczycieli szkół średnich.

Jeśli uczeń szkoły średniej zdoła ocalić coś ze swej osobowości, chwala mu. Jeśli się to nie uda, stworzy sobie podwójną moralność: na zewnątrz i do użytku własnego. W szkole będzie grał na scenie życia, a w domu powie to, co myśli. Powiedzieć mi, jak mamy wychować światłego obywatela, skoro właśnie szkoła uczy nas stosowania różnych wybiegów, kruczków i obchodzenia przepisów. Całkowitym absurdem jest tzw. praca społeczna (!?). Właśnie ona prowadzi do demoralizacji młodzieży. Szkoła często podejmuje się organizacji tych prac. Załatwia się autobus, sprzęt i zaplecze. Po przyjechaniu na miejsce okazuje się, że połowa łopat i grabi nie nadaje się do użytku, a prace, jaką każe się nam wykonać, można by zrobić przy pomocy sześciu, a nie trzydziestu osób. I przez te sześć czy siedem godzin, które mają być wpisane do dzienniczka na konto prac społecznych, każdy obija się i robi, co chce, a tylko trzy osoby rzeczywiście pracują.

Nie wiem, czy zapomniano, że dzisiejsza młodzież wie dużo więcej i rozumie o wiele więcej niż kiedyś. Zarzuca się nam, szczególnie w szkole, że jesteśmy nazbyt krytyczni. Nie chcę tu pisać, jak wyglądałby obraz świata ludzi dorosłych (tych na stanowiskach) robiących to, co im się podoba, i tych, którym wydaje się, że wszystko, co robią, jest dobre i nie wymaga spojrzenia z zewnątrz. Kto powinien mieć wystraszony zmysł krytyczny, jak nie młodzież? Tylko ona, zanim wyjdzie w świat „dulszczyzny” dorosłych, zgodnie z przyszłością: „Gdy wpadniesz między wrony kracz tak jak one”.

Trzeba wreszcie skończyć z udawaniem, i to jak najprędzej, jeśli nie chcemy doprowadzić do następnego kryzysu za dziesięć lat. My — zakompleksieni, patrzący na dobrą jakość towarów z zachodu; my — którzy uwierzyliśmy, że jesteśmy „pepkim świata”; my — snobi, ubierający się w każdy mod-

ny ciuch i rozpaczający z powodu braku pralki automatycznej; my — egoiści, zamknięci w swoich pudełkowatych mieszkaniach, gromadzący dobra materialne, jeszcze więcej i więcej; my — niesypiający po nocach, by przeczytać „Sztukę kochania”. Twoje niedoścignione marzenia, twój świat otoczony zagranicznymi samochodami, kolorowymi telewizorami i ptasim mleczkiem. Twój codzienny bieg do tramwaju, do pracy. W kieszeni znajdziesz pomietą gazetę, której nie zdążyłeś przeczytać w autobusie, resztki snu błakającego się w zakamarkach świadomości. Chciałoby się rzec: trwaj, idyllo! Wypracowaliś sobie konsumpcyjny model życia i ciągniemy do niego mimo różnych utrudnień i przeciwności losu.

dym człowieku postawy moralne, zmysł obserwacji, logiczne myślenie i patriotyzm”. Może jestem za bardzo uczciwy, ale takie oszustwa nie pozwalały mi być dumnym z tego, że noszę harcerski mundur.

Skoro już o mundurach mowa: w naszym liceum obowiązują mundury z czerwonymi krajkami. Nie macie pojęcia, jak żenująco wyglądali młodzi ludzie wyjmujący przed wejściem do szkoły krajki z kieszeni lub z torby, wiążąc je ukradkiem w szatni. Po skończonych zajęciach krajki wracali do swoich poprzednich miejsc. W ten właśnie sposób harcerz (?) okazywał szacunek własnemu mundurowi. Tak działa się przez dwa lata, w ciągu których miałem możliwość zaobserwowania zwyczajów i zachowań ludzi należących do tej or-

gany na jednoznacznie czarne lub białe charaktery. To wszystko się uzupełnia, ale waga najczęściej wykazuje zdecydowany przechył w którąś ze stron.

Możecie mi zarzucić, że filozofuję, wymądrzam się i tak dalej. Piszę po prostu to, co dyktuje mi serce oraz co dręczy i targa moim osobistym poczuciem odpowiedzialności, które jest zakodowane w najskrytszym zakątku mojego mózgu. Nie mogę tak patrzeć beczynnym na to, co się dzieje. Jeżeli mam coś do powiedzenia, to mówię i nie staram się owijać tego w bawełnę.

Nie wiem czy moje refleksje mają szansę ujrzeć światło dzienne. Być może dlatego, że nie są napisane „pod publiczność”, powodują do kosa, ale mam nadzieję, że cho-

kompleksy pepka świata



Gdy wreszcie w swoich czterech ścianach, z najdroższym dywanem z Pewexu, zagłębimy się w fotelu, ogarniając wzrokiem to, co zgromadziliśmy, powinniśmy zadać sobie pytanie: a gdzie jest moje człowieczeństwo? Czy moim jedynym celem w życiu powinno się stać bogato wyposażone mieszkanie i duża ilość pieniędzy? Zastanówmy się, co zostanie po nas, w tym ciągłym pędzie za bogactwem. Czy to wszystko, co zgromadziłem, ma większą wartość od mnie samego? Od Homo Sapiens? Czy zasługuję na to określenie? Rozumny — ładnie brzmi. Wiele razy w swoim życiu przekonywałem się, że ta nazwa nie pasuje do ludzi, chociaż samo pojęcie „człowiek” zawiera w sobie jakiś pierwiastek humanitaryzmu. U tych bardziej cywilizowanych powinien on być wysoko rozwinięty. Tak jednak nie jest. Doskonałym przykładem może być postać Europejczyka z Irlandii, Anglii lub Niemiec Zachodnich, który za pieniądze wynajmuje się do walki przeciwko Afrykańczykowi. Człowiek i człowiek. Pojęcia jakże różne. Ten biały żył w pewnego rodzaju luksusie, być może zamordował kogoś lub popełnił jakiś przestępstwo w swoim kraju i jedynym jego ratunkiem było najemne wojsko. Ten czarny zawinił (!?) tym, że ma inny kolor skóry. Oto jest nasza ludzkość, nasze człowieczeństwo u progu dwudziestego pierwszego stulecia. Zdobywamy wszechświat, nie uporządkowawszy swoich ziemskich spraw. A może tak trzeba? Ciągnąć te brudy za sobą i zabrać je na planety, na których stanie ludzka stopa?

Wracam do moich rozmyślań o szkole. Chociaż jestem już w trzeciej klasie, nadal nie podjąłem decyzji o wstąpieniu do harcerstwa. Wytłumaczę — dlaczego. Gdy byłem w pierwszej klasie, postanowiłem, że zapiszę się dopiero wtedy, jeśli uznam, że jest to organizacja, do której naprawdę warto należeć. Być harcerzem — to znaczy (hm...) Stało się jednak tak, że od razu się zraziłem. W miejsce obietnic, których efektów nie było, sprawozdania szły „wyżej”. Sywały się pochwały na harcerskie władze „za ciekawe akcje i wyrabiające w mło-

ganizacji. Miałem również okazję być na obozie ZHP, a to, co słyszałem wcześniej, razem wzięte, dało mi pełny obraz kultury harcerskiej. Niejeden raz zresztą widziałem pijanych druhów na rajdzie czy dyskotekę. Słowa „harcerz nie pali i nie pije” wydają mi się dzisiaj śmieszne. Być może są jeszcze wartościowe wyjątki. Ci mogą śmiało spojrzeć prawdzie w oczy, nie obawiając się wyrzutów sumienia. Stał się w większości bezideowy. Powodem, dla którego niektórzy zapisali się do ZHP, jest możliwość lepszego startu na studia. Chęć po maturze odciąć kupony od swojego członkostwa w harcerstwie. Żal mi było zastępowych, błagających wręcz swoich druhów o to, żeby wyrazili zgodę na uczestnictwo w apelu lub w zrobieniu okolicznościowej wystawy. Nagle komuś brakowało czasu, wypadały jakieś pilne sprawy w domu i cała gromadka, schowawszy się po kątach, zostawiła zrozpaczonego zastępowego z pustymi rękami.

W tym roku przyszła nowa komendantka szczebu. Młoda, energiczna, nie zrażona złą atmosferą. Może uda jej się coś zdziałać, podnieść rangę harcerstwa w naszej szkole.

Jestem pesymistą i widzę wszystko w czarnych kolorach? Nie, na pewno jest coś wartościowego we współczesnej młodzieży. Trzeba jej tylko stworzyć odpowiednie warunki do wyzwolenia się spontaniczności. I — co najważniejsze — nie zrazić nas do tego, co uczciwe i szlachetne. Jakże płytko brzmią te dwa słowa w dzisiejszych czasach. Dorobiliśmy się „wspaniałego” społeczeństwa i przykro jest, gdy w postępowaniu naprawdę uczciwego człowieka dopatrujemy się korzyści materialnych. A my sami często zadajemy sobie pytanie: „Co ja z tego będę miał?” lub „Jeżeli on to robi za darmo, ma w tym jakiś ukryty cel”. Ludzie! Pozamykani w swoim światku samozadowolenia i drobnomieszczaństwa. Wygryzający swoich przeciwników na odpowiedzialnych stołkach. Każdy z nas zaczyna w pewnym okresie budować wokół siebie ścianę obojętności. I tu znów przypomnienie: nie szufladkujmy ludzi i nie dzielmy

cięż jury będzie mogło się z nimi zapoznać. Klaskać jest łatwo, ale trudniej zastanowić się, dlaczego to się robi. Może przez poklaski łatwiej jest zagłuszyć głos własnego sumienia.

Jak już pisałem — młodzież, szczególnie ta prawie dorosła, uważnie obserwuje wszystko dookoła i jest szczególnie wrażliwa na wszelkie deformacje. Bunt rodzi bunt i stąd konflikty z rodzicami, którzy mogli załatwić swoim pociechom dostanie się na studia i byli bardzo zdziwieni, kiedy córka lub syn odmawiali i oburzali na taką propozycję. Spojrzenie na świat spod ojcowskiego klosza jest naprawdę subiektywne i nie pozwala nam dostrzec tego, co wartościowe. Ten bunt ma szansę tylko w okresie dojrzewania, później przechodzi w „dorosłość”, czyli zrozumienie sytuacji i podporządkowanie się zwierzchnikom.

W naszej trudnej codzienności niełatwo jest odnaleźć siebie. To, z jakim bagażem doświadczeń wkroczymy w zawikłość „poważnego życia”, zależy po części od naszego otoczenia, ale przede wszystkim od nas samych; od naszej świadomości tego, w jakich realiach żyjemy, czego się od nas wymaga i co nam przysługuje. Nie można ciągle brać, trzeba dać coś z siebie, żeby być zadowolonym on, ona, każdy z nas, tworzący rzecz zwaną Jutrem. Bez troska młodzieńczych lat nie powinna przesłaniać rzeczywistości. A ta nasza rzeczywistość to przecież my — szarzy, przeciętni, z codziennymi marzeniami i zmarszczkami trosk, wyrzutowanych na naszej polskiej ziemi. Tych korzeni, które łączą nas z przeszłością, nie wolno odciąć, gdyż staniemy się usychającym drzewem na pustyni świata. Jak bystry strumień spłyną wtedy nasze osiągnięcia oraz nabytki naszej kultury. Nie może tak się stać. Polska naszych marzeń, matka bohaterów synów, oczekuje od nich miłości. Nie od święta i wielkich rocznic, lecz na co dzień. W naszym trudzie, w chwilach dobrych i złych.

Ufamy Ci, Polsko, zaufaj i Nam.

MAREK WILK
z Sochaczewa



Na ścianie, tuż poniżej okna, widać jeszcze podłużne, jaśniejsze od szarości tynku, ślady. Pódeksyctowani ludzie przystają na chodniku, zadzierają głowy. Firanka wychyla się miarowo, to na zewnątrz, to — pchnięta podmuchem — chowa z powrotem. Minęło już kilka dni, a wciąż jeszcze sypią się z góry odłamki szkła. Opadają takim samym przyspieszonym lotem i rozpryskują w zetknięciu z betonowymi płytami. Gdzieś tu, w tym miejscu, w którym zastygają w bezruchu, obok jakichś przypadkowych, nieczyli kropki krwi, stała do przedwczoraj ławka, potrzaskana, okaleczona. Ludzkie pielgrzymki zdążyły do niej jak do źródła objawienia; żadne sensacje — szukały uwiarygodnienia prawdziwości nie swojej tragedii. Czyjś głos górował nad pozostałymi, czyjeś ręce, zataczając wiatrakowate kręgi, opisywały: barwnie, drobiazgowo, oczekując szmeru nerwowego uznania, spojżenia zazdrosnego o chwilę nie zaznanej emocji. Potem ławka zniknęła pozostawiając „bohaterów” samych wobec ludzkiego niedowierzania. Z konieczności słowa ich stały się jeszcze bardziej obrazowe, gesty pogłębiły się, wyolbrzymiały. Przekazywane dalej, rekonstruowane w kolejnych przypominaniach, przybierały coraz to nowe treści i zabarwienia. Zapis faktu deformował się w dodatkowych wersjach, „nie znanych” szczegółach.

Zapis faktu

W tym momencie było ich tylko dwóch. Przechodzili pod oknami nie zdając sobie sprawy z nienormalności chwili. Pojedynczy krzyk zaskoczył ich niemal równocześnie z widokiem spadającego dziecka. Nie zdążyli zareagować. Trzasnęła, łamana, bardziej impetem niż ciężarem drobnego ciała, deska. Dziecko upadło na ławkę wbijając się w nią nóżkami jak w stóg siana. Ciało przechyliło się gwałtownie w przód, a główka zawisła kilka centymetrów nad betonową płytą. Podskoczyli i, raczej chyba instynktownie niż z racjonalnego przeświadczenia o niebezpieczeństwie, odciągnęli ławkę spod okna. Ściana domu pozostawała nieporuszona; okna zamknięte, milczące. Przez jeden krótki moment pomyśleli, że wszystko to wydarzyło się przez przypadek, że dziecko wychyliło się... Chyba nawet nie zdążyli ich zadziwić te zamknięte okna. W następnej bowiem chwili jedno z nich otworzyło się, a z gorączkowej kotłowniny rąk wyłoniły się dwie postacie: kobieta i chłopiec. Ona — usiłująca wypchnąć go na zewnątrz; on — broniący się rozpaczliwie, czepiający dłońmi to parapetu, to framugi okna. Kilkadziesiąt metrów dalej, przed barem i sklepem spożywczym, zaczął gromadzić się tłum ciekawskich. W pewnym momencie okno opustoszało. Najwyraźniej chłopiec wyrwał się matce i pobiegł w głąb mieszkania. To był moment na podjęcie decyzji. Biec na czwarte piętro czy... Szansa jedna na tysiąc, że ławka i tym razem zamortyzuje ewentualny upadek. Jeden z mężczyzn szybko podsunął ją na dawne miejsce. Dziewczynka — uwolniona z „oków” ławki — znajdowała się już w ramionach drugiego. Gdzieś z prawej strony otworzyło się okno, wychyliła się czyjaś głowa. Trzasnęła tłuczona nogą szyba. Jednocześnie na górze znowu zaczęła się dramatyczna walka.

— Krzyczałem: „Co pani robi, co pani robi! Ludzie, ratujcie!” Szkło posypało mi się pod nogi. Nie wiedziałem, co począć. Chwytać na ręce? Piętro niżej ktoś wychylił się przez okno. Cały czas krzyczałem: „Ratunku! Ludzie, ratujcie!” Ciekawska głowa schowała się, okiennice zatrzasnęły i nie otworzyły się więcej. Żeby chociaż ktoś rzucił poduszkę lub koc. Widziałem, jak chłopak chwycił się kurczowo parapetu, jak matka odpycha jego głowę, a palce osuwają się i rysują jasne ślady na tynku. Obijając się o daszek ganku, upadł mi na ręce, osunął się po nich, potem, po nogach, na beton, tuż obok ławki.

Mężczyzna pochylił się nad chłopcem, a widząc, że ten jeszcze żyje, dźwignął go na ręce i zaczął biec w kierunku szpitala. Co chwila przystawał jednak — robił mu sztuczne oddychanie. Bładość policzków ustępowała, oczy powracały do normalnej pozycji. Wciąż znowu biegł. Tymczasem ludzie zgromadzeni przed barem oglądali finał dramatu: skok matki. Mężczyźni zaczynało brakować tchu, odmawiało posłuszeństwa serce. Biegł, przystawał, znowu

biegł. Na szczęście znalazł się jakiś znajomy. Miał więcej sił. Ludzie zaczęli iść w kierunku szpitala.

Widziane przez innych

Najtrudniej przyjąć do wiadomości, a co dopiero zrozumieć i ocenić, nietypowe lub niezwykle postępowanie osób bliskich, znajomych. Obcych klasyfikuje się łatwiej, ich czyny schematyzuje bez większych skrupułów. Nawet najbardziej zbrodnicze występki, przypisywane nie znanym nam ludziom, bez problemu przyjmujemy za prawdziwe, niezależnie od stopnia wiarygodności źródła informacji. W stosunku do bliskich jest zupełnie inaczej. Znajomość szczegółów utrudnia uproszczone interpretacje. Ci, którzy Marię S. znali, nie potrafili zrozumieć, co mogło pchnąć tę kobietę do takiego czynu.

— Bywała nierównoważona, to prawda. Ale mało kto w dzisiejszych czasach jest zupełnie normalny. Ona była po prostu bardziej nerwowa niż inni. Zaobserwowałam, że kiedy ktoś oferował jej pomoc, zapomogę rzeczową, wpadała w furję. Ponościła ją wtedy ambicją, ale i obawą, że te doraźne zapomogi mogą przyczynić się do zabrania jej renty. Przed świętami Polski Komitet Pomocy Społecznej otrzymał kurczęta dla swoich podopiecznych. Chociaż poinformowano ją o tym, nie zgłaszała się przez trzy dni. Potem wypytawała mnie, czy jeszcze może skorzystać i czy na pewno nie potracą jej tego z renty. W końcu wzięła kurczaki i mleko. Kiedy przyszedł do niej z kawałkiem boczką, wypędziła ich wykrzykując, że nie jest dziadką i nieczyjejś laski nie potrzebuje. Znowu musiałam ją przekonywać.

— Renta po mężu nie była wysoka, więc drżała bardzo, żeby jej nie uszczuplili. Zaledwie 700 złotych na nią i po 1500 na dzieci. Liczyła, że 100 złotych wydaje na opłaty mieszkaniowe i że zostaje jej po około 900 złotych na osobę na wyżywienie, ubranie, utrzymanie domu itd. Nie jest to duża suma, a ona, jak tylko mogła, tak starała się o zapewnienie dzieciom dobrych warunków. Strasznie je kochała. Zdarzało się, że zabierała maluchom na podwórku jakieś lakoce, których sama nie mogła dostać, i dawała swoim. Oczywiście tej renty po mężu nikt jej nie odebrał, bo przecież przysługuje każdej samotnej matce, wychowującej dzieci do lat szesnastu, niezależnie od stanu zdrowia. Czy mogłaby pracować? Formalnie miała trzecią grupę inwalidzką, a więc tak. Namawiałam nawet, żeby się zdecydowała, bo wyrwałoby to ją z tej ciągłej samotności, pomogłoby psychicznie, nie tylko finansowo. Wahala się, ale w końcu zgodziła na takie zajęcie, które pozwalałoby jej zabierać z sobą dzieci. Towarzystwo Przyjaciół Dzieci załatwiło jej etat sprzątaczką w jednej ze szkół. Papiery złożyła, ale w pracy się nie pokazała. Po kilku dniach, zaniepokojona, poszłam do niej. Otworzyła mi wprawdzie, ale była w negliżu, podenerwowana. Zaczęła mi wymyślać, chwyciła za ramiona, usiłowała zepchnąć ze schodów. Potem uspokoiła się jakoś i, zrezygnowana, tłumaczyła mi, że nie da sobie rady, jest zbyt słaba i te bóle głowy... Denerwowała się na lekarzy, że nie leczą, tylko gadają, że przypisują złe lekarstwa. Chyba nie miała zaufania do psychiatry. Ale do siebie też nie. Chciała być niezależna — sama prowadziła dom, wychowywała dzieci — lecz nie wierzyła, że poradzi sobie z pracą zawodową. Zaczęła więc starać się o rentę dla siebie. Przepracowała siedemnaście lat i przecież była chora...

— Myślę, że jej szal wynikł z tej odmowy renty. W Łomży papiery udało się jakoś załatwić, ale Zambrowi robił trudności. Ostatnio ZUS wezwał ją na komisję. Pojechała na początku kwietnia. Prosiłam ją, żeby dzieci zostawiła u mnie, w tym samym osiedlu, ale zawiozła je na Jantar, do swojej rodziny. Przed tym wypadkiem dostała odpowiedź negatywną. Trzęsła się cała, pokazywała mi te papiery. Mówiła, że chcą ich wymordować. „Ale — odgrażała się — jeśli tak, to będziecie jeszcze moje dzieci chować”. Myślałam: zdenerwowana, to tak plecie. Martwiła się też, że Andrzejek nie ma białej podkoszulki i kalesonków. Dopiero teraz dochodzi do mnie, jaki sens mogły mieć te słowa. Kto by jednak podejrzewał, że takie myśli latają jej po głowie?

Na godziny przed dramatem

Niektórzy twierdzą, że tuż przed tragedią chciała umieścić dzieci w jakimś bezpiecznym miejscu — u matki lub w Domu Dziecka. Zdawała sobie bowiem sprawę, że czuje się coraz gorzej.

Pewnie w odruchu rozpaczyny napisała ten, nieco chaotyczny, list: *Pierwszy Sekretarzu Edwardzie Gierku, proszę o natychmiastową reakcję ponieważ dokonuje się morderstwa na terenie Łomży na mnie i dzieciach i pozostawiono bez środków do życia oraz pieniądze różnego rodzaju mnie dają i spożywam we wszystkich pokarmach truciznę oraz leki nieprawidłowe. Nie dadzą mi pracować i żyć. Proszę o natychmiastową reakcję. Co dzieje się na terenie Łomży?*

Tymczasem wypadły trzy dni wolne od pracy. Ludzie zrelaksowani, instytucje pozamykane. Przychodnia Zdrowia Psychicznego nieczynna. Opiekunka społeczna chora, w szpitalu, Maria S. usiłowała gdzieś dzwonić, coś komuś tłumaczyć. Nikt jej nie uspokoił, nie wysłuchał, nie doradził. Na sześć godzin przed dramatem, o 2.30 w nocy z soboty na niedzielę, przysłała na Pogotowie Ratunkowe. Przyjął ją dyżurujący w szpitalu chirurg. Poprosiła go o pomoc. Przyznała się, że jest chora. Nic jednak nie zdradzało oznak choroby psychicznej lub silnego szoku. Rozmawiała przytomnie; była przyzwyczajona do ubrania, uczesana, tyle że istotnie mocno podenerwowana. Widać to było szczególnie w jej rozmowie telefonicznej z Pogotowiem Milicyjnym. Lekarz zalecił fenacil, tzn. zastrzyk uspokajający, i przekazał ją pod opiekę Pogotowia Ratunkowego. Miała odczekać pół godziny, ponieważ konieczna była kontrola działania zastosowanego środka. Chirurg mógł zalecić tylko najniższą dawkę. Przekroczenie jej bowiem powoduje nieraz zapaść. Specjaliści natomiast, w wyjątkowych przypadkach, dają nawet 40-krotnie silniejsze dawki. Chora opuściła poczekalnię niemal natychmiast, nie można więc było ustalić efektów działania zastrzyku. Nikt też nie zainteresował się jej dalszym losem, chociaż podała adres, a niektóre osoby z Pogotowia знаły ją z pewnością osobiście.

Wróciła do domu. Zastrzyk był zbyt słaby, by uspokoić jej rozdygotane nerwy, rozjątrzoną wyobraźnię.

— Tej nocy, około trzeciej, przysłała do mnie z synem i prosiła o pożyczanie książki telefonicznej. Nie mówiła, dlaczego jest jej potrzebna. Zeszła na dół do telefonu. Po chwili odniosła mi książkę mówiąc, że jest ona niedobra, i prosiła o inną, dobrą... W ogóle dość często przychodziła do mojego mieszkania, aby korzystać z telefonu. Od lutego, od chwili śmierci jej męża, zjawiała się znacznie częściej. Pamiętam że kiedyś dzwoniła do Warszawy na numer „Telefonu zaufania”. Rozmawiała około 20 minut.

Do sąsiadki z dołu docierały niejednokrotnie jakieś hałasy, odgłosy przesuwania krzeseł, spuszczenia wody.

— Tej nocy hałasy były wyjątkowo głośne. Pamiętam dokładnie, że o drugiej kilkakrotnie otwierała i zamykała okna, trzaskała drzwiami balkonowymi. O 2.55 widziałam przez „judasza”, jak wracała na górę, do siebie. Przed nią szedł jej syn. Trzymała w ręku jakąś kartkę, którą jakby czytała. Potem słyszałam dochodzące z jej mieszkania głośne rozmowy. Coś też stukotało w podłogę, jakby ktoś szybko chodził po mieszkaniu. Około 4.30 uspokoiło się jakoś.

Dlaczego?

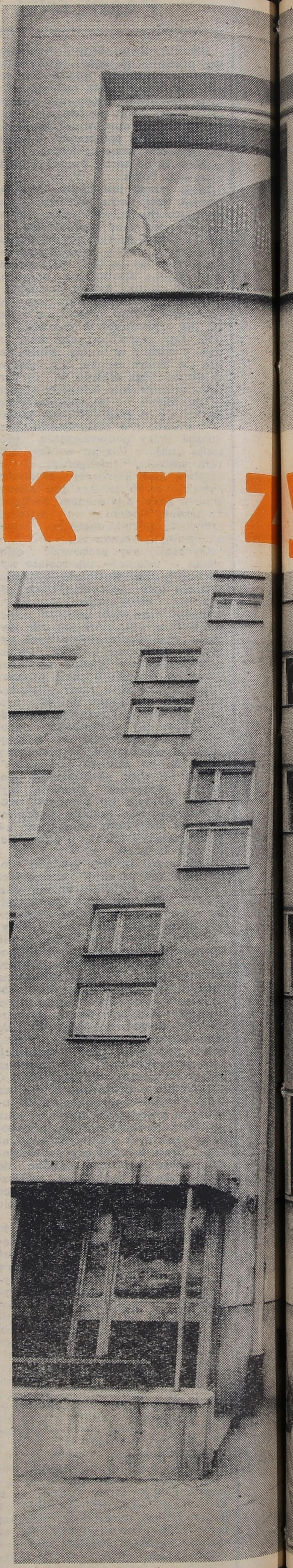
Nie od razu chyba zdawała sobie sprawę z tego, co się stało. Była nawet dość spokojna. Dopiero kiedy dowiedziała się, że zostanie przewieziona do Choroszczy, zaczęła się niepokoić: — Czy dzieci pojadą ze mną?

— Nie.

— To gdzie jest moja mama? Jak ja wyjeżdżałam, zawsze opiekowała się dziećmi.

Potem, mimo opuchniętej nogi i złamania kości miednicy, usiłowała zejść z wózka, żeby pójść do domu po buty. Martwiła się też, kto ją po śmierci męża wypisze ze szpitala.

Lekarze w Choroszczy nie mogli pogodzić szaleńczego zachowania Marii S. z dotychczasowym, znanym sobie, obrazem — dość spokojnej i zdyscyplinowanej — pacjentki. Zresztą teraz też nie wyglądała na inną. Interesowała się losem dzieci, pytała, jak się czują. Powoli dowia-



zy k



dywała się prawdy, ale nawet dzień dni później nie była w stanie przyjąć jej w pełni. Nie przypominała sobie szczegółów dramatu. W jej świadomości utkwiło, że chciała wyskoczyć z okna, bo tam stał jej Adaś i wołał ją. Andrzejek i Basia nie chcieli matki puścić, przytrzymywali, więc chyba wypadli razem z nią. Ale dokładnie nie pamięta, jak to się skończyło.

Adaś, jej pierworodny syn, o którym mówiła podczas poprzednich kuracji, w lutym 1977 r. wypadł przez okno. Jego młodszy, czteroletni wtedy, braciszek opowiadał, jak Adaś powiedział mu, że wyjdzie oknem, a wróci drzwiami. Wystarczył moment. Matka siedziała w kuchni lub w sąsiednim pokoju z czteromiesięczną córeczką. Była tak blisko, a jej ukochane dziecko odeszło nagle i na zawsze. Na zawsze odszedł też spokój z tego domu. Czas zazwyczaj zaciera cierpienia i rozpacz, łagodzi ból rozstania. Są jednak takie odczucia, które przeradzają się w inny rodzaj obecności. Adaś był z nią zawsze, wołał ją, potrzebował jej. Podświadome poczucie winy doprowadziło ją do głębokiej nerwicy. Mąż coraz częściej topił żal w alkoholu. Zaczęły się pierwsze kłótnie, potem pobicia, a w końcu nawet interwencje milicji. Po dwóch latach oskarżyła go o znęcanie się nad nią.

Kiedy odsiadywał karę, ona po raz pierwszy skierowana została do szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Choroszczy. Dzieci, zgodnie z decyzją sądu, umieszczono w Domu Dziecka. Gdy tylko jednak skończyła leczenie, rozpoczęła starania o zmianę tej decyzji. Po dwóch tygodniach dzieci były już z nią. W szpitalu zachowywała się dobrze, chętnie poddawała leczeniu. Szybko nawiązała kontakt z innymi pacjentkami, dbała o swój wygląd, korzystała z dostępnych w szpitalu rozrywek. Raz tylko zachowała się niewłaściwie: kiedy po raz pierwszy zobaczyła męża po jego wyjściu z aresztu. Dopiero później mogła stwierdzić, że jej pobyt w szpitalu spowodował zmianę w zachowaniu męża. Uwierzył, że jest rzeczywiście chora, poprawił się, pomagał jej w prowadzeniu domu, oddawał pieniądze.

Po raz drugi przebywała w Choroszczy od czwartego grudnia 1980 r. do jedenastego stycznia 1981 r. Podobno znowu była zadowolona z wyników leczenia. W szpitalu zachowywała się zupełnie inaczej niż w domu. Była spokojną pacjentką. Czuli się bezpiecznie, bo dbano o nią, nikt jej nie dokuczał, nie miała problemów. Poza szpitalem zaczynał się inny świat, skomplikowany, często niezrozumiały lub wrogi. A więc i ona zachowywała się inaczej. Najbardziej musiał odczuwać to mąż. Na dwa dni przed jej wyjściem ze szpitala zeznał prokuratorowi, że z trudem znosi chorobę żony, jej oskarżenia, zachowanie. Wszystko to przeszkadza mu w pracy, uniemożliwia normalne życie. Jeżeli będzie tak dalej, odbierze sobie życie. I wreszcie pękło coś w tym człowieku. Dokładnie cztery tygodnie później, wczesnym lutym rankiem, rzucił się z piątnickiego mostu do Narwi. Jak długo dojrzał do takiego poczucia bezradności i niemości?

I tę śmierć przeżyła bardzo. Czy mogła mieć jakieś poczucie winy? Na ile człowiek nerwowo chory kontroluje swoje zachowanie, w jakim stopniu zdaje sobie sprawę ze swego wpływu na otoczenie? Ona jednak musiała poczuć się winna. Przecież zabiegali o to niektórzy „życzliwi”, bardziej surowi niż prokurator, sprawiedliwi od sądu. I potrafiący karać. A poza tym nękała ją ta, ciągle powracająca, obsesyjna już, sprawa renty.

Chyba najbardziej ją ona absorbowała i denerwowała. Ciągle wracała do niej. Nie udało się jej załatwić renty chorobowej po pierwszym pobycie w szpitalu. Po drugim zaproponowaliśmy, że spróbujemy jeszcze raz, bo zmieniły się trochę warunki. Nie zdążyła dojść do drzwi, a już podarła ten druczek. Jej kontakt z poradnią nigdy nie był właściwy. Przychodziła do nas dość regularnie, ale zawsze była agresywna, wiecznie miała pretensje, że źle leczymy. Pamiętam ją jako pacjentkę w Choroszczy w 1979 r. To zupełnie nie ta sama osoba. Tam była spokojna. W Łomży potrafiła nawet na ulicy krzyczeć, że to wszystko przez nas, lekarzy. Muszę przyznać, że obawialiśmy się jej trochę; podejrzewaliśmy, że może być agresywna nie tylko słownie. Wobec nas.

Nigdy nie podejrzewałam, że może być agresywna w stosunku do dzieci.

Ludzie są źli

Ludzie chcą widzieć w niej zbrodniarkę. Wyrafinowaną, okrutną. Przerazenie budzi zjadłość, z jaką bronią swych podejrzeń. „Ona musiała wyrzucić to pierwsze dziecko. Niech mówią, co chcą, a my i tak nie uwierzmy, że wypadło samo”. „Przecież to jest wariatka” — mówią inni, ale natychmiast spotykają się z ripostą: „Takich wariatów jest pół Łomży”.

Niemożliwe jest określenie granicy, przed którą ma się do czynienia jeszcze ze zwykłą nerwicą, natomiast za — już z chorobą psychiczną. Każdy z nas nosi w sobie zarodek takiej tragedii. To, czy się on rozwinie, zależy od naszej indywidualnej odporności. Jej nie złamało pojedyncze niepowodzenie. Nawarstwiło się ich wiele, drażąc psychikę, pogłębiając depresję, niewiarę w możliwość wyjścia poza bariery, rzeczywiste i urojone, wznoszone przez ludzi i przez nią samą. Trudno w tej chwili określić jednoznacznie, jakie to były bariery i w jaki sposób powstały. Zresztą, czy postawienie diagnozy może teraz cokolwiek zmienić? Najwyżej ułatwić bądź ograniczyć działalność Prokuratury.

Co ją czeka? Pobyt w szpitalu, ubezwłasnowolnienie, więzienie? Czy leczenie, nawet długotrwałe, daje gwarancję pełnego powrotu do zdrowia? Poprzednie pobytu w Choroszczy też przynosiły poprawę, a jednak nie zapobiegły tragedii.

Jeżeli wróci, to gdzie? Między sąsiadów? Żeby nie darowali jej śmierci dziecka? Przecież już wcześniej dokuczali za to, że leżała w „psychiatrii”. Uda się do rodziny? Przez dziesięć dni, mimo wezwań, nie doczekała się niczyich odwiedzin. Zresztą: czy oczekiwała cokolwiek poza matką?

— Byłam w szpitalu rano tego samego dnia, gdy chowali chłopca. Nigdzie nie widziałam rodziny. Dopiero w jakiś czas później zobaczyłam jej matkę. Lamentowała: „Pani, bo my nie mamy pieniędzy”. „Trudno — powiedziałam — załatwimy”. Za chwilę pojawiła się siostra: „W jaki sposób państwu pomóc?” „No, wszystko takie drogie”. „Dobrze, kupcie ubranko na rachunek, a my wam zwrócimy”. Chcieli, żeby dziecko chowane było z księdzem. Poszłam. Ksiądz: „Ależ absolutnie za darmo. Taka tragedia!”. Wróciłam. Chłopiec był już umyty, ubrany. Ktoś zrobił to również za darmo. Później samochód. A nuż nie będzie komu nieść trumny? Poszłam do Spółdzielni Inwalidów, tam gdzie pracował Mariusz mąż. Pan prezes: „Nie ma sprawy”. Była godzina dziesiąta, samochody już rozdysponowane. Znalazł jednak, dostarczył. Ale trumnę i tak nieśli pracownicy Spółdzielni. Pytałam się później rodziny, czy chciałyby wziąć do siebie dziewczynkę. Owszem, mogą, ale tylko na święta.

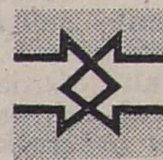
Maria K. nie umie sobie wyobrazić życia bez dzieci. A przecież chłopiec nie żyje, a dziewczynkę najprawdopodobniej jej odbiorą. Więc dalszy ciąg tragedii. Tragedia dziecka pozbawionego matki. Czy to jest konieczne? Być może — nie. Ale czy istnieje takie prawo, które pozwala ryzykować powtórnie? Czy przypadkiem nie popełniono już potwornego błędu nie zabierając dzieci wcześniej? Dziewczynka dopytuje się ciągle o matkę. Tęskni za nią.

TPD rozważa możliwość adopcji. Jest już nawet kilka kandydatur. Na razie jednak nie ma się do czego spieszyć. I tak przecież upłynie jeszcze sporo czasu, zanim zapadnie decyzja sądowa o ewentualnym pozabawieniu matki praw rodzicielskich. A poza tym nie można decydować pochopnie tam, gdzie waży się losy dziecka.

Najszczęśliwsze dla dziewczynki (jeżeli w ogóle można nazywać szczęściem pozbawienie jej prawdziwej matki) byłoby jej zniknięcie z Łomży, znalezienie kogoś, kto potrafiłby odizolować ją od wspomnień, od ludzi. Tu byłaby skazana na wieczne piętno dziecka wariatki. Ludzie bywają okrutni wobec słabszych. Bezwzględnie okrutni. Dlaczego? Być może mszczą się w ten sposób za to, że nie potrafili wobec czyjejś tragedii wykrzesać z siebie niczego poza obojętnością. Obojętnością, która przychodzi po chwili żarłocznej ekscytacji.

DANUTA i ALEKSANDER WRONISZEWSCY
FOT. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



Już od dawna intryguje nas niezmienny obraz brudnych krów w każdej gminie Łomżyńskiego. Czy to dowód hołdowania tutejszej tradycji, czy — po prostu — niechlujstwa. Zazwyczaj z biedą kojarzy nam się gromadka brudnych dzieci w zgrzebnym i zapuszczonym pomieszczeniu. Lecz kto ma krowy, biedy nie doznaje, więc niechby swe żywicieli czasem wyczyścił i na oczy ludzkie swego niedbalstwa nie wystawiał. A gnój i tak trzeba wywozić, bo wszystkiego krowa na brzuchu z obory nie wyniesie.

W międzygminnych starciach zespołów piłkarskich klasy C, poza ciosami w różne części ciała, sypią się również rozliczne bramki. Niedawno „Grom” z Czerwonego Boru dosunął nowogrodzkiemu „Ziemowitowi” 12:3, zaś ciechanowiecka „Unia” zremisowała 8:8. Naczelnik nie omija rozgrywek swoich pupilków, czym daje dowód swojemu zainteresowaniu sportem gminnym. Złośliwi jednak twierdzą, że jego obecność na wszystkich meczach podyktowana jest obawą, iż któregoś dnia będzie musiał nagle zastąpić bramkarza. Podobno nazwę klubu z „Ziemowita” zamieni się na „Okowita”.

Po Urzędzie Wojewódzkim cośkolwiek ostatnio tak wiało, krążyło i pogwizdywało. Natrętem okazał się wiatr historii, a że to bydlę niełatwo ujarzmić, wszyscy wojewodowie odizolowali się od niego przez wstawienie w gabinetach drugich drzwi. Ani się teraz wiatr przez nie wcisnie, ani co wywieje, a i pogwizdywać — bez wyraźnego polecenia — nie będzie.

Od co najmniej dwóch lat jedzie z Białegostoku do Grabowa podglówek fotela dentystycznego. Ciekawi jesteśmy, jak problem opierania głów pacjentów rozwiązał miejscowy Ośrodek Zdrowia. Uważamy, że powinien on otrzymać dodatkowy etat na wyjątkowo miękkie kolana.

Czytelnicy z Łomży pytają nas, co robi plastik miejski, kiedy nie rozwiesza okolicznościowych makiet, pontawał masywne konstrukcje metalowe rzadko są wykorzystywane, a szylidy na asybytkowych kamienicach rażą tandetą. Odpowiadamy: chwilowo nie wiemy; zapytamy go o to niebawem i poinformujemy wszystkich zainteresowanych. Podobno ostatnio opanował klub „Bor nar”, a czyni zakusy na kino „Millenium”.

Naczelnik gminy Klukowo od razu potrzebuje opróżniać budynek Urzędu. Zamieszkają w nim krowy rolników, którzy obarczają naczelnika odpowiedzialnością za swoje stada, jeśli ten nie zdobędzie dla nich — łańcuchów. A jak zdobędzie, kto zagwarantuje, że nie zażądają dostarczenia np. mężów dla swoich córek — pod groźbą przekazania mu ich schedy oraz rodziców na dożywocie?

Za Stawiskami poćcinano grube drzewa, rosnące w odległości 3—4 metrów od drogi. Ktoś zapewne doszedł do wniosku, że zderzenie z leżącym drzewem jest bezpieczniejsze niż ze stojącym. Szczególnie kiedy już wreszcie spróchnie, przestanie leżeć w oczy ciekawskich i wywoływać głupie (jak powyższy) komentarze.

W internacie Liceum Medycznego w Łomży stworzono „izbę paradną” jako wizytówkę okazywaną gościom, a że koszty reprezentacyjne ktoś musi ponosić — spadły one na uczennice, które do lekcji i matury przygotowują się na korytarzach. Tak, ta „izba” jest świetlica, która wszędzie indziej służy za pokój do nauki cichej mieszkańców internatu. Ale w świetlicy trzeba dyżurować, natomiast „izbę paradną” można zamknąć i poświęcić się np. uczcie duchowej w postaci dziania na drutach.



obnażanie pamięci

Wiesz — o tym, jak się znajduję jako partyjniak w „Solidarności”, porozmawiamy następnym razem; muszę jeszcze złapać kilka doświadczeń... A może byśmy spróbowali dzisiaj podejść do innego tematu? Takiego, co często wywołuje w nas reakcje historyczne, mrukliwe albo z faryzejską służalcze?

Opowiadałem ci poprzednio, że robotnicze losy mojej rodziny splatają się też z czerwoną rewolucją w Moskwie i Piotrogradzie, i że rok dwudziesty przeciął związki z braćmi dziadka, którzy byli robotnikami petersburskimi... Dzisiaj czytam ich biogramy w słowniku Polaków-uczestników rewolucji. Obaj byli ongiś członkami WKPb; jeden w dwudziestym został „przekazany do dyspozycji Biura Polskiego” i słuch o nim zaginął; drugi wrócił po ostatniej wojnie do Polski, ale niedługo pożył w Łodzi i rodziny nie zdążył już odnaleźć.

Ale jest jeszcze coś innego: kie-

dyś matka wspomniała mi w jednej rozmowie, że w osiemnastym, kiedy dziadek wrócił z Rosji do żony i dzieci, do Warszawy, to chciał ich zabrać z powrotem... A nie był przecież żadnym działaczem bolszewickim, od braci w Rosji też przebywał daleko, bo cały czas obracał się wśród warszawskich kolejarzy, przesiedlonych w wojnę do Moskwy przez carskich czynowników. Matka mówiła, że takie zamiary dziadka nie były w tamtym roku czymś osobliwym czy konspiracyjnym. Wtedy nie zgodziła się na wyjazd babka, bo chorowała, a któregoś z trojga dzieci — też. Matka powiedziała, że to była i sprawa macierzyńskiej przeczności babki.

Od tej rozmowy z matką męczyło mnie pytanie: dlaczego właściwie dziadek chciał w tamtym czasie wyjechać? Pamiętam przecież jakieś okruciny jego poglądów z lat pię-

dziesiątych. I wtedy po raz pierwszy zastanowiłem się nad tym, że może my na tę wczesną radzieckość patrzmy już tylko przez to wszystko, co się stało za czasów stalinowskiego samodzierżawia? Pomyślałem przy tym, że może i rok dwudziesty, który poznawałem z nagrobków i podlaskich opowieści o najeźdźcach (bo przecież nie z podręczników), jest bardziej skomplikowany... W jakiej mierze ze strony władców Rzeczypospolitej chodziło wówczas o przecięcie więzi między Polakami po jednej i drugiej stronie granicy, a i więzi międzynarodowych także? Przecież Polacy byli drugą, co do liczebności, nacją wśród uczestników Rewolucji (było ich po stronie Rewolucji podobno około stu tysięcy). Rzeczy dopełnił aż do skrajności marsz wojsk rewolucjonizowanego sasiada na Warszawę... W liczne związki między ludźmi weszła po tych wydarzeniach

wystrzona antagonistycznie granica między państwami.

A o Rewolucji w wymiarze indywidualnym dowiedziałem się jeszcze trochę od znajomego, starszego człowieka, który — jako młodzik — znalazł się bez rodziców w latach pierwszej wojny w Rosji; zaopiekowała się tam nim komuna rewolucjonistów, dzięki którym w ogóle przeżył i zdobył podstawy edukacji. Znajomy ten wspominał z czcią i uczuciem swoich opiekunów, a pamięć o Rewolucji była w jego opowiadaniu pamięcią o tych ludziach. Pamięci swojej nie wystawiał na widok publiczny; opowiadał skąpo tylko tym, którym ufał. Ja dzięki niemu lepiej mogłem pojąć, dziwaczne po późniejszych wydarzeniach, chcenia dziadka z czasu tuż po powrocie z Rosji — już bez cara i jego czynowników.

STANISŁAW KOTWICA



kto by widział odrobinę zdrowego rozsądku...

Mieliśmy w ubiegłym roku klęskę nieurodzaju. Diabli wzięli zboża, woda zabrała trawy, a... i tutaj problem: kto lub co zgnoilo nam ziemniaki. Jednym słowem — przerażająca perspektywa ogólnonarodowego rozstroju żołądka. Bo co, jak co, ale już szczególnie bez ziemniaka Polak się nie uchwaja. Tymczasem zawitał przednówek, według wszelkich prawideł rynkowych — podskoczyły ceny, a ziemniaków nie dość że nie brakuje, to jeszcze jakby zbywa. U chłopów — dodajmy koniecznie — bo przecież nie w sklepach. Może łomżyńskie tego problemu specjalnie nie odczuwa, ale na tyle bogate, by gnoić ziemniaki w kopcach lub w magazynach, za-

miast handlować nimi z innymi województwami, raczej nie jest.

I tutaj pierwszy błąd w rozumowaniu. Bo przecież nie wszystko, co polskie, a tym bardziej łomżyńskie, musi być zaraz logiczne. Ponieważ gospodarka planowa opiera się m.in. na prognozowaniu, przewidzieliśmy, że z takiego błota ziemniaków już się nie wykopie. Na wszelki wypadek więc, żeby tego nie oglądać, nasunęliśmy sobie kłapki na oczy i w statystykach sumiennie odnotowaliśmy: zaciśnięć pasa. I rzeczywiście wszystko zdawało się potwierdzać, że tym razem mieliśmy rację. W sklepach coraz większe pustki, na punktach skupu zastój. Koło marca, kiedy głód zaczął już skręcać kiszki, trzeba było zdecydować się na coś konkretnego, np. na podwyżkę cen skupu. A nuż rolnik, skuszony intrygantną propozycją, rozzagarnie ostatni kopiec i nakarmi zgłodniałe miasto. Na jakiś czas wystarczy, a potem...

Łomżyński WZSR na naradzie z prezesami Gminnej Spółdzielni ustalił, że ceną optymalną, zadowalającą rolników i do przyjęcia dla nabywców, będzie suma 900 złotych za kwintal. Rozporządzenie na cztery strony maszynopisu, z aktualną pieczęcią i stosowanym błogosławieństwem władz, poszło w teren. Oficjalna wersja głosiła ponadto, że podpisano umowę z Katowicami, i teraz nie już do szczęścia nie trzeba, jak tylko wyciągnięcia od rolników ostatnich, zakonspirowanych ziem-

niaków. Ale wtedy się dopiero zaczęło.

— Zebraliśmy, zgodnie z planem, osiem ton. Dzwonię do WZSR-u. Owszem, wezmą, ale ma być dziesięć. „Uzupełnijcie”. Za dwa dni: „Mamy już dziesięć ton”. „Nie szkodzi. Dołączajcie do piętnastu”. Przy osiemnastu zdenerwowałem się i interweniuje przez Komitet Wojewódzki. „Co wy tu za szum robicie?” — słyszę. „Ziemniaki w workach. Nie mogą czekać”. „A ile macie?” „Osiemnaście ton”. „Dobrze, zbierzcie do dwudziestu”. W poniedziałek mamy już 21. „W porządku, ale dostaniecie samochód na 26 ton”. W tej chwili zebraliśmy 38; 14 u nas w magazynach, reszta u rolników.

Jak prezes Gminnej Spółdzielni w Szumowie ma wierzyć maksymie, że od przybytku głowa nie zaboli? Od półtora miesiąca ma go gdzieś na wysokości uszu, a niedługo pewnie utonie w nim zupełnie. Na nie zdają się interwencje w WZSR-ze. Okazuje się, że 38 ton to żaden problem. W innych gminach mają po 200 i jakoś nie interweniują.

— Za te 14 ton płaciliśmy po 900 złotych za kwintal. Reszta u chłopów, zamówiona na słowo. My daliśmy worki, oni rozkopowali i teraz wszyscy czekamy na... zmiłowanie boskie. Chłopom zapłacić będziemy musieli, bo słowo jest słowem, ale kto pokryje nasze straty?

Ostatnio WZSR zaproponował Gminnej Spółdzielni w Szumowie, żeby sama szukała sobie odbiorcy.

Ceny ziemniaków spadły, chętnych na przeplacenie nie ma. Chłopi, dziwnie oporni, sprzeciwiają się sprzedaniu po 200 złotych za kwintal „przemysłowców”.

— Chciałem już brać z SKR-u samochód i wieść do Warszawy na handel, ale że to inne województwo, więc podobno nie wolno. Zresztą, kto teraz uwierzy, że nie chcę zarobić na tym interesie. Zaproponowałem też, żeby część ziemniaków sprzedać do naszego baru; wezmą... tonę. I to też po takich cenach, że jak się księgowy dowie, to mnie zabije.

W Łomży tymczasem w dalszym ciągu podziwu godne opanowanie i rozważa. „Czekać cierpliwie, będzie odbiorca”. Warto się zastanowić, czy w fakt, iż WZSR zawarł jakąś umowę, wierzy ktokolwiek poza Związkiem? Ostatnio zabrakło tej wiary nawet chłopom. Dwóch z nich, ze wsi Srebrne, rozkopowało 11 ton, po czym stwierdziło, iż mają cokolwiek do stracenia, więc — pomijając województwo — udali się wprost do Ministerstwa Przemysłu Spożywczego i Skupu. Jak wieść nie się — przyjęto ich z uśmiechem i odprawiono... z kwitkiem.

Trwa więc dalej pracowite wyciekowanie na odrobinę zdrowego rozsądku, a tymczasem ziemniaki gniją dalej i jest im doskonale, niezależnie od tego, czy robią to za darmo, czy po 900 złotych za kwintal?

ALEKSANDER WRONISZEWSKI



REPORTER: Biebrzy grozi śmierć. Śmiertelnie jest również chora Narwa. Tydzień temu mówiłem o bagażnikach inwestycyjnych w Grajewie, który doprowadzić może do katastrofy ekologicznej Biebrzy. Czym jest Biebrza — mówi inż. Jan Gotkiewicz z Zakładu Doświadczeń Melioracji i Użytków Zielonych.

JAN GOTKIEWICZ: Według międzynarodowej klasyfikacji — Biebrzę zalicza się do jednego z dwudziestu najbardziej cennych obiektów przyrodniczych w Europie, a pod względem torfowym — najcenniejszych. Z punktu widzenia przyrodniczego najwyższą wartość ma Biebrza dolna, ponieważ jest ona najmniej dotychczas zmieniona. Teren Biebrzy dolnej leży poniżej Grajewa i właśnie on jest najbardziej zagrożony ściekami, a przecież — ze względu na jego właściwości przyrodnicze — został przeznaczony na park narodowy. Najwartościowszą częścią parku jest sama rzeka, ponieważ niesie czystą wodę do Narwi i dalej, do Wisły. Są tu bardzo cenne rośliny, m.in. relikty lodowcowe. Kiedyś był tu doktor Mejsztyk z Pragi, który nie chciał wierzyć, kiedy pokazaliśmy mu brzozę niską, betulę humilis; uważał, że jest niemożliwe, aby ta roślina mogła tu rosnąć. Niedawno mieliśmy również wizytę uczonych holenderskich ze słynnego uniwersytetu w Wageningen. Oni uważają, że dolina Biebrzy mogłaby być takim obiektem badań, na podstawie którego dałoby się wnioskować, co się działo dawniej w Holandii, ponieważ u nich tego typu obszary już dawno, dawno temu zanikły.

REPORTER: Jestem pewien, że jeśli nie uszanujemy tego rezerwatu, uczeni z Europy Zachodniej, pochylający dziś czoła nad fauną i florą doliny Biebrzy, będą za dwa lata kręcić na swoich czołach znaczące kółka. Mówi pracownica Samodzielnej Pracowni Badań i Kontroli Środowiska w Łomży.

JANINA NIEDZWIEDŹ: Biebrzę badamy co dwa lata, a więc przeprowadzone były badania w 1978 i 1980 roku. Wyjątkowo w osiemdziesiątym pierwszym jest ona wzięta także do badania. Prowadzone są one raz na miesiąc.

REPORTER: Jaka ta rzeka jest?

JANINA NIEDZWIEDŹ: W osiemdziesiątym roku Biebrza należała do wód o wysokim stopniu zanieczyszczenia, bo od ujścia rzeki Elk znajdowała się — ogólnie mówiąc — w trzeciej klasie czystości. Zróznicowanie klas czystości jest bardzo duże, bo od klasy drugiej do nie odpowiadającej normie. W zasadzie można powiedzieć, że Biebrza nie prowadziła nigdy wód klasy pierwszej, ale były miesiące, kiedy miała wody w klasie drugiej, i właśnie mając przed oczyma taki wyciąg, mogę powiedzieć, że wody klasy drugiej występowały w miesiącu kwietniu, maju i czerwcu, a także w sierpniu, wrześniu, październiku i listopadzie. Właściwie w grudniu także.

REPORTER: W ubiegłym roku było wyjątkowo mokre lato, więc samej Biebrzy zawdzięczamy fakt, że niosła wody klasy drugiej, a nie trzeciej. O klasie czystości wód mówi kierowniczka Pracowni łomżyńskiej.

BARBARA CWALINA: Do pierwszej klasy czystości zalicza się wody przeznaczone do zaopatrzenia ludności oraz zakładów przemysłowych, wymagających wody nadającej się do picia, a więc wszystkich spożywczych i hodowlanych łososiowatych. Do drugiej klasy zalicza się wody przeznaczone do hodowli ryb, z wyjątkiem łososiowatych, hodowli zwierząt gospodarskich i urządzania zorganizowanych kąpielisk rekreacyjnych. Natomiast do trzeciej klasy zalicza się wody przeznaczone do zaopatrzenia pozostałych zakładów przemysłowych, nawadniania terenów rolniczych, wykorzystywanych do upraw ogrodniczych oraz upraw pod szkłem.

REPORTER: Coraz częściej się zdarza, że Biebrza niesie wody trzeciej klasy.

BARBARA CWALINA: W związku z powyższym jej wody będą się nadawały tylko do zaopatrzenia zakładów przemysłowych lub do nawadniania terenów rolniczych. Natomiast cele rekreacyjne, hodowla ryb czy pojenie zwierząt nie wchodzi w grę.

REPORTER: Na szczęcie tego samego zdania jest dyrektor Wydzia-

alarm dla Biebrzy

tu Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Łomży.

HENRYK MILEWSKI: Biebrza na odcinku naszego województwa jest już w tej chwili dosyć poważnie zanieczyszczona ściekami: Elką ściekami miejskimi, ściekami zakładu mleczarskiego w Prostkach, gdzie oczyszczalnia jest o wiele za mała w stosunku do potrzeb, jak również ściekami z zakładu mleczarskiego w Dolistowie, gdzie takiej oczyszczalni w ogóle nie ma. W rezultacie najczęściej Biebrza zaliczana jest na tym odcinku do trzeciej klasy czystości, a więc praktycznie nie nadaje się do użytku. Najważniejszym czynnikiem klasyfikującym ją w klasie trzeciej jest tzw. miano coli, czyli ilość bakterii kałowych, powstających w ściekach miejskich. Stąd wnioskujemy, że przede wszystkim zanieczyszcza ją miasto Elk, które dotychczas nie ma oczyszczalni ścieków. Było wystąpienie wspólne wojewody łomżyńskiego, suwalskiego i białostockiego do Komisji Planowania przy Radzie Ministrów o podjęcie konkretnych działań na rzecz utrzymania czystości rzeki Biebrzy. Bo to jest, bądź co bądź, rzeka wciąż jeszcze bardzo istotna, a szczególnie ta dolina Biebrzy, niepowtarzalna; szkoda, żeby została zniszczona.

REPORTER: Jak dotąd, niewiele z tego wynika. Wyżsi urzędnicy ministerialni jeszcze sobie nie uświadamiają, że czystość wód w regionie północno-wschodnim nie jest sprawą lokalną. Wodę z Narwi i jej dopływów, czyli także z Biebrzy, pije dwumilionowa aglomeracja warszawska. Natomiast wiedzą o tym radni miasta i gminy w Grajewie; miasta, które uszczęśliwiono budową wielkiej mleczarni. Przypomnę, że uchwałą Miejsko-Gminnej Rady Narodowej naczelnik miasta został zobowiązany do udaremnienia rozruchu śmiertelności zakładu. Mówi radny, mgr inż. arch. Jerzy Talaga.

JERZY TALAGA: Warunki, jakie wtedy Urząd Powiatowy postawił, przewidywały m.in. wybudowanie przy zakładzie mleczarskim podczyszczalni ścieków. No i potem, już po reorganizacji, w zasadzie tematem zaczęło się interesować w siedemdziesiątym szóstym roku, kiedy do projektu oczyszczalni komunalnej przyjęto ścieki mleczarskie, na podstawie opinii biura mleczarskiego, że będą to ścieki bardzo mało szkodliwe. Biuro Projektów, w sposób zupełnie automatyczny, robiąc aneks do oczyszczalni w Grajewie, włączyło te ścieki. I ten fakt pozostawiono na jakiś czas, dopóki nie nasunęły się wątpliwości i nie zaczęto sprawdzać ilości, składu ścieków itd. Wtedy zaczęły się różne narady, bo okazało się, że jednak nie będzie tak, jak w tych mleczarskich przewidywaniach napisano, no i ścieki mleczarskie mogą zagrażać: raz — funkcjonowaniu samej oczyszczalni, dwa — środowisku, bo ścieki nie zostaną oczyszczone w należyty sposób. M.in. byłem inspiratorem zlecenia takiej ekspertyzy Politechnice Warszawskiej, Instytutowi Ochrony Środowiska, co naprawdę będzie się działo w tej naszej oczyszczalni miejskiej z chwilą przyjęcia ścieków mleczarskich. Ekspertyza była jednoznaczna: oczyszczalnia przestanie funkcjonować wskutek zablokowania złożeń biologicznych, po prostu nastąpi tak gwałtowny rozwój bakterii na tym złożu, że zostanie ono dosłownie zatłakane.

REPORTER: Kiedy tą ekspertyzę przygotowano?

JERZY TALAGA: Ponad dwa lata temu.

REPORTER: Dwa lata temu już wiedzieliśmy, że istniejąca oczyszczalnia nie będzie mogła przyjąć ścieków z budowanej mleczarni?

JERZY TALAGA: No, oczywiście. Ekspertyza dawała takie połowiczne, tymczasowe rozwiązania, żeby złoże na oczyszczalni wymienić (koksowe są bardzo podatne na zablokowanie) z koksowego na plastykowe. W oparciu o te eksperty-

zę została wydana, chyba przez Urząd Wojewódzki, decyzja w sprawie modernizacji oczyszczalni pod kątem przyjęcia ścieków mleczarskich.

REPORTER: Ale modernizacji nie zrobiono?

JERZY TALAGA: Nie zrobiono modernizacji. Po jakimś czasie znów podjęto decyzję radykalną: budowa oczyszczalni dla zakładu mleczarskiego.

REPORTER: Mówi naczelnik Miasta i Gminy w Grajewie.

BOLESŁAW LUTO: Cykl tej budowy, jak zostałem poinformowany, wynosi dwadzieścia sześć miesięcy. Umowa zawarta jest na wrzesień 1982. Oby wykonawca tego terminu dotrzymał.

REPORTER: Administracja województwa proponuje półśrodki stosowane w krótkim czasie.

HENRYK MILEWSKI: To jest pewne nieporozumienie, dlatego że grajewska oczyszczalnia ścieków jest w stanie oczyszczać mieszaninę ścieków mleczarskich ze ściekami miejskimi, bytowymi, warunek jednak, aby nie były one nadmiernie obciążone ładunkiem tzw. BZT5, czyli miały zbyt dużo białka i cukrów pochłaniających tlen. Powstają te nieporozumienia, bo nie ma jednoznacznych określeń na ten temat. Ważne jest, że ścieki mleczarskie w wielu oczyszczalniach tego typu są oczyszczane i nie ma z nimi problemu. Konkretnie chodziło o 950 metrów sześciennych ścieków mleczarskich i o ładunek nie przekraczający 700 BZT5. Analizując pracę oczyszczalni stwierdziliśmy, że utrzymanie zakładu mleczarskiego przy pełnej produkcji nie daje możliwości utrzymania parametrów ścieków poniżej 700. Na przykład: zepsuje się jakaś ilość mleka, i już — zamiast proszku — trzeba będzie przerobić je na kazeinę, a wówczas powstanie pewna ilość serwatki i ścieki nie zamkną się w granicach 700 BZT5. Można zabrać to zepsute mleko i przewieźć je do innego zakładu, który ma własną oczyszczalnię. Na pewno kłopot, na pewno jakiś tam koszt, ale to możliwe, i zakład może się utrzymać, nie puścić tego uszkodzonego mleka do ścieków miejskich. Nie problem w tym, że oczyszczalnia się broni przez przejęciem ścieków, tylko problem w tym, że mleczarstwo nie utrzyma się w parametrach, na które oczyszczalnia została wybudowana. Wojewoda łomżyński podjął decyzję zobowiązującą mleczarstwo do dalszych ograniczeń ładunku zanieczyszczeń w sposób zabezpieczający pewne rezerwy. Jeżeli Biuro Projektów Mleczarskich przedłożyło koncepcję i zakład utrzymał się w wielkościach BZT5=700 mg/l bez rezerwy, to nawet niewielkie przekroczenie tej ilości mogłoby zakłócić pracę oczyszczalni. W związku z tym wojewoda zobowiązał mleczarstwo do opracowania takich technologii, które stworzyłyby przynajmniej trzydzieści procent rezerwy.

REPORTER: Czyli zakład musi pracować niepełną mocą swych urządzeń?

HENRYK MILEWSKI: Powinien przede wszystkim dostosować technologię do procesów, przy których powstaje bardzo mała ilość ścieków. Przy nowych technologiach produkcji masła ścieków nie ma zupełnie.

REPORTER: Dalej uparcie będę twierdził, że są to doraźne półśrodki, pachnące amatorszczyzną. Zresztą uważam, że cały system ochrony wód w makroregionie północno-wschodnim opiera się tylko na badaniach potwierdzających złą sytuację i słownych deklaracjach. Zdecydowanych działań jeszcze nie ma. Mówi dyrektor Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska w Białymstoku.

MAREK KEDZIERZAWSKI: Sprawa stanu zanieczyszczenia rzek makroregionu północno-wschodniego była przedmiotem wielu spotkań zainteresowanych służb w poszcze-

gólnych województwach. Wychodzimy z założenia, iż rzeki nie mają granic. Narew jako centralna oś hydrograficzna tego obszaru, jest rzeka, która poszczególne województwa są zainteresowane, więc wszystko to, co się nieprawidłowego dzieje na obszarze jednego z nich, ma automatycznie wpływ na życie gospodarcze, stan zanieczyszczenia i w ogóle na szereg kompleksowych spraw w województwie drugim. W związku z powyższym widzimy potrzebę skoordynowania badań i kierunków inwestowania w obrębie danego województwa, żebyśmy mieli przyływ informacji między sobą, mogli spodziewać i wiedzieć, co następuje i co będzie w najbliższym czasie z tą rzeką w wyniku takiego, a nie innego, stanu działalności gospodarczej. Wyszliśmy w roku 1977 z propozycją Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku do województw zainteresowanych stanem czystości Narwi i jej głównych dopływów, po to, żeby zorganizować naradę tych służb i ustalić kierunki działania, które by zobowiązywały wszystkie jednostki tą sprawą zainteresowane. Po tych ustaleniach przedłożyliśmy program działań Ministerstwu Administracji i Gospodarki Terenowej, a konkretnie — z ramienia Departamentu Ochrony Środowiska został wyznaczony naczelnik wydziału, mgr inż. Zadrożny, jako koordynator działań dotyczących Narwi. Następnego spotkania odbyło się w Ostrołęce w roku 1979. Wyszliśmy na tym spotkaniu z nową koncepcją, mianowicie stworzenia, w obrębie zlewni rzeki Narwi, tzw. rady programowej, jak myślimy to nazwali, nawet idąc dalej — spółki wodnej, ale przede wszystkim zamysł był taki: stworzenie jakiejś rady na wzór rzeki Odry, gdzie na czele tego zespołu byłoby wojewodowie poszczególnych województw, którzy by prowadzili sprawę związaną z orientacją polityki inwestycyjnej i działaniami dotyczącymi unormowania spraw, zanieczyszczonej w sposób katastrofalny rzeki Narwi, jak również i poszczególnych dopływów.

REPORTER: W dalszym ciągu nie z tego nie wynika. Powróćmy nad dolną Biebrzę, która jest bez przerwy badana przez sztab naukowców.

JAN GOTKIEWICZ: Badania trwają od roku 1975. Uczestniczą w nich: siedem instytutów uczelnianych, dwie placówki Polskiej Akademii Nauk, Białowieża i Instytut Ekologii, Instytut Melioracji i Użytków Zielonych w Falentach i Zakład Doświadczeń „Biebrza”. Te badania zakończymy konferencją krajową w osiemdziesiątym drugim roku, a w osiemdziesiątym trzecim ich wyniki będą przekazane władzom administracyjnym. Została zawarta umowa między wojewodą łomżyńskim, który jest gospodarzem terenu, Ośrodkiem Badań Naukowych w Białymstoku, który również uczestniczy w badaniach, i Instytutem Ekologii, która mówi, że władze administracyjne pomogą naukowcom, ale i pozostawia im Biebrzę jako warsztat do badań, w których biora udział naukowcy różnych dyscyplin: ornitolog, ichtiolog, botanicy. Jeżeli te ścieki byłyby tam wypuszczone, to nastąpią takie zmiany, że dotychczasowe wyniki badań, prowadzonych od kilku lat, nie miałyby sensu i w ogóle cel badań byłby wątpliwy.

REPORTER: Tymczasem zdesperowani radni w Grajewie czekają na kolejną sesję Miejskiej Rady. Czy urzędnicy przekonają ich, że mleczarnie należy uruchomić, czy im to wyperswaduują? Mówi radny Henryk Świdorski.

HENRYK ŚWIDORSKI: Rada Narodowa nie przyjmie żadnej perswazyj w tym temacie, po prostu dlatego, że rada reprezentuje interes całego społeczeństwa miasta i gminy. Ta sprawa została wprowadzona do porządku dziennego właśnie pod presją opinii publicznej. Społeczeństwo Grajewa było zbulwersowane tym stanem rzeczy, że buduje się zakład bez oczyszczalni ścieków. Nie tylko mnie się wydaje, ale wszystkim radnym, że wbrew naturze działać w dalszym ciągu nie możemy. Jeżeli na jakimś etapie projektowania i wykonawstwa ktoś błędnie zrobił, to my go nie możemy dalej przepuszczać. Wychwyciliśmy go, musimy go, że tak powiem, z korzeniami wyrwać.

TOMASZ PIOTROWSKI



nie do MSW, do gen. Sławoja-Składkowskiego, z motywacją, że jako antyfaszysta „nie mogę przecież zagrażać zachodnim granicom państwa polskiego”, aż do wybuchu wojny nie doczekało się żadnej odpowiedzi.

W Warszawie pracowałem w sławnej żoliborskiej WSM. Wygnanie z Wieluna do Warszawy wyszło mi na dobre, gdyż mogłem teraz studiować na WWP. Zorganizowałem też Spółdzielnię „Wyzwolenie”, w której zatrudniłem Bolesława Bieruta.

Już po wojnie z ogłoszonych w

cie Chudoby z niewoli niemieckiej i po aresztowaniu Barlickiego, Dubois i Kuryłowicza, przejęliśmy kierownictwo organizacji socjalistycznej „Barykada Wolności”.

W wyniku połączenia kilku grup socjalistów 1 IX 1941 r. powstała organizacja Polskich Socjalistów, która brała udział w pracach (po ustąpieniu WRN-u z Delegatury) PKP i Delegatury rządu londyńskiego.

W roku 1943, po zmianie delegata prof. Piekałkiewicza z SL-u na Jan-kowskiego z SP, Polscy Socjaliści zostali usunięci z Delegatury na rzecz powrotu WRN-u. Wtedy to na

dniczącym, a Kazimierz Mijał sekretarzem.

16 marca 1944 wyruszyła do Moskwy przez front delegacja KRN-u w składzie: Edward Osóbka-Morawski, Marian Spychalski, Jan Haneman i Kazimierz Sidor. Dotarliśmy tam 16 maja 1944. Przyjął nas oficjalnie marszałek Stalin. Uzyskalismy broń dla AL-u i skromną pożyczkę na koszty jej organizacji. Nieoficjalnie przyjęli nas ambasadorowie: USA — Harriman i W. Brytanii — Kerr. Nawiazaliśmy też stosunki z ambasadorem Czechosłowacji, Fierlingem, i przedstawicielstwem Jugosławii. Po wizycie w I Armii i ośrodkach Polonii radzieckiej, razem z działaczami ZPP pracowaliśmy nad programem i Manifestem PKWN-u, który ukazał się 22 VII 1944. Zawarliśmy z ZSRR umowę o administracji na terenach wyzwolonych, a jednocześnie otrzymaliśmy żądanie ustalenia i podpisania umowy o granicy wschodniej. Ponieważ propozycja wicepremiera Mołotowa była dla nas niekorzystna, odwołaliśmy się do premiera Stalina. Stalin powitał nas niezadowolonym: „O co im tam jeszcze chodzi? Czy Chelmszczyzna do nich, czy do nas ma należeć?”

W dalszych rokowaniach, które odbywały się w przyjaznej atmosferze, propozycje graniczne zostały skorygowane. Na moje oświadczenie, że Polacy oczekują przyłączenia do Polski całych Prus Wschodnich, otrzymaliśmy odpowiedź, że ZSRR potrzebuje niezamarzającego portu Królewca i — dla satysfakcji Armii Czerwonej — „kuskos ziemi niemieckiej”. Rozdział Prus Wschodnich na część polską i radziecką został poważnie skorygowany na korzyść Polski. Później ustąpiono nam Augustów, Suwałki, Sejny i inne drobne miejscowości.

Stalin, chcąc nam osłodzić straty na linii Curzona, pokazał na mapie proponowane nabytki na zachodzie. Była to linia Nysy Kłodzkiej z ponad 1000-kilometrową granicą z Niemcami. Uczyniłem uwagę, że granica z wrogiem powinna być jak najkrótsza i wskazałem na mapie Nysę Łużycką (skrótobyło to granicę z Niemcami do ponad 400 kilometrów), a my — zgłaszając rozszerzenie do odzyskania ziem historycznych — możemy uzasadniać jeszcze dalej wysuniętą linię. Stalinowi ta koncepcja się podobała. Na mapie czerwonym ołówkiem nakreślił linię Odry i Nysy Łużyckiej, i obiecał, że rząd radziecki będzie nas popierał w tym względzie. W końcu nawiązałem do oświadczenia rządu ZSRR z 1944 r., w którym była mowa o poprawce linii Curzona na korzyść Polski, i stwierdziłem, że spośród trzech koniecznych poprawek wybieram najskromniejszą w postaci Puszczy Białowieskiej. Na to Stalin, już znowu na nas zagniewany, krótko odparł: „Nada kanczat! dielo”. Oczywiście, nie zgodził się na moją propozycję. Poprosiłem więc o przerwę w rokowaniach, co nastąpiło, i polska delegacja udała się do sąsiedniego pokoju na naradę. Tam towarzysze dziękowali mi, że powstrzymałem się przed poruszeniem sprawy Lwowa, co mogło doprowadzić nawet do zerwania rokowań. Oświadczyłem im, że jeżeli ZSRR nie ustąpi nam Puszczy Białowieskiej, to ja nie będę przekonany o sprawiedliwej granicy i bezapelacyjnie podam się do dymisji ze stanowiska przewodniczącego PKWN-u. Było to 25 VII 1944, czyli w trzy dni po jego powstaniu. Nie miała wtedy Moskwa wielu kandydatów na to stanowisko. Jak się później dowiedziałem od Stanisława Szwalbego, Stalin zapytany o genezę powołania przewodniczącego PKWN-u odpowiedział, że poradził Wandzie Wasilewskiej, aby Polacy wysunęli młodego kandydata z PPS-u (bo PPR nie ma większych wpływów w kraju), który by nie był nastawiony antyradziecko. Wanda Wasilewska wysunęła moją kandydaturę, więc moja dymisja stworzyłaby poważne komplikacje, bo w świat poszła już wieść, że powstał PKWN, z którym ZSRR zawarł przyjazne stosunki. Jak tu teraz dopuścić do kryzysu, zwłaszcza że moje argumenty były nie do zbicia, a mianowicie:

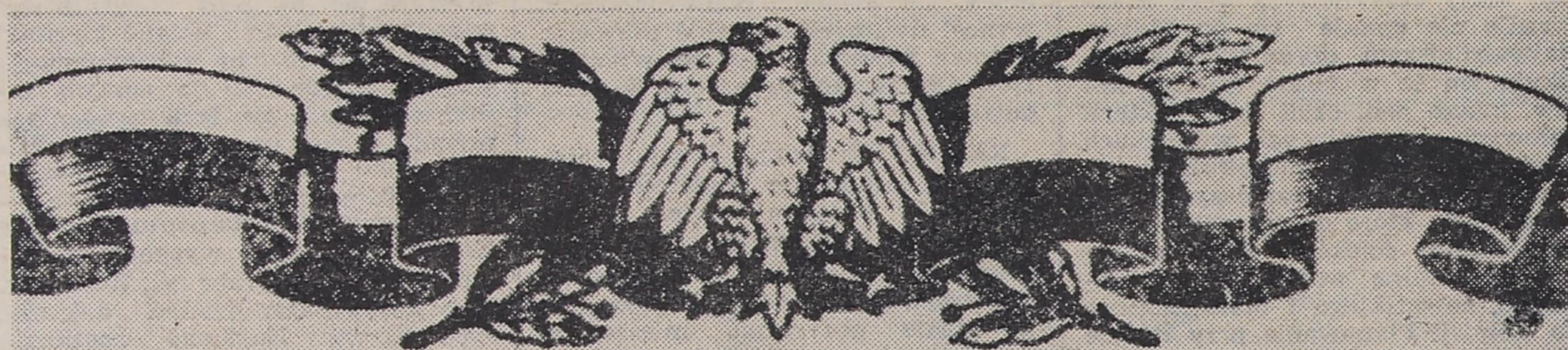
1) Puszcza Białowieska jest naszą puszczą narodową,

2) Mamy w Polsce bardzo wyniszczone lasy,

3) Puszcza jest zapleczem surowcowym dla przemysłu drzewnego w Hajnówce,

4) nie ma tam problemów naro-

Widow



MANIFEST
pierwsze dekrety Polskiego Komitetu
Wyzwolenia Narodowego

SECRET

Kra[owa] Rady Narodow[ej] o utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego

[illegible]

MANIFEST

Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego

[illegible][illegible]

Od 1928 r. należałem do PPS, a wstąpiłem do niej wtedy, kiedy — jak szczerzy z tonącego okrętu — uciekali wszyscy oportuniści i koniunkturaliści, gdy sanacja rozpoczęła ostrą walkę z Partią. Ja też wtedy byłem atakowany. Jako urzędnik samorządowy w ciągu 9,5 lat nie awansowałem, a w roku 1935 zostałem zwolniony z pracy. Było to w Końskich, mieście rewolucyjnych robotników-metalowców, któremu Niemcy w okresie okupacji nadali przydomek „Bandlensztadt”.

Po półrocznym bezrobociu „Spółem” zatrudniło mnie w Wieluniu. Tam — w okręgu b. posta-zdrajcy Gardeckiego z PPS — od roku 1928 była pustynia pod względem ruchu robotniczego. Istniał tylko Związek Robotników Cukrowni. Zorganizowałem tam Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego i trzy związki zawodowe: Robotników Budowlanych, Robotników Rolnych i Dozorców Domowych. Utrzymywałem się tam zaledwie dwa lata i „dorobiłem” się zakazu zatrudniania w nadgranicznym powiecie, roku więzienia za przestępstwa prasowe oraz nakazu osadzenia w Berezie Kartuskiej, czego udało mi się uniknąć, bo zaraz po sprawie sądowej potajemnie wyjechałem do Warszawy. Odwoła-

„Polityce” dokumentów dowiedziałem się, że ze mną z Końskich Wielunia zawędrowała do Warszawy groźna opinia policji. Razem z działaczami komunistycznymi i trzema działaczami PPS-u: Barlickim, Próchnikiem i Dubois, byłem umieszczony na liście do uwięzienia na wypadek wojny.

1 IX 1939 — na wezwanie OKR PPS — zgłosiłem się z łopatą do budowy barykad, stawianych przez Bataliony Robotnicze, a jako nie przeszkolony wojskowo — kiedy nie mogłem już wrócić na zajęcia przez Niemców Rakowiec — zająłem się prowadzeniem Spółdzielni „Wyzwolenie”, gdyż Bierut, po apelu płk. Umiastowskiego, udał się na wschód.

5 X 1939 wyruszyłem — przez Łomżę, Brześć — do Hajnówki. Nie tak dawno, jeszcze przed wybuchem wojny, byłem w Łomży (na zaproszenie tamtejszego działacza, Tybrowskiego), Hajnówce i Grodnie z odczytami. W Hajnówce zatrzymałem się na niecałe trzy miesiące, a dowiedziałwszy się, że moi przyjaciele wrócili już do Warszawy — i ja tam także przybyłem w wigilię 1939 r. Nawiązałem kontakt polityczny z Próchnikiem, a po powro-

posiedzeniu CKW PS zgłosiłem wniosek o przyjęcie propozycji PPR-u zawarcia sojuszu jednolito-frontowego, organizacji lewicowego ośrodka politycznego w postaci kontrdelegatury i nawiązania politycznych kontaktów międzynarodowych. Wszystko wskazywało na to, że wojna zakończy się militarnym zwycięstwem mocarstw, a po wojnie liczyć się będą tylko grupy polityczne, mające oparcie międzynarodowe. Było to na osiem miesięcy przed powstaniem KRN-u. Mój wniosek — większością trzech głosów do dwóch — został odrzucony jako przedwczesny i „mało realny”.

W październiku 1943 nawiązałem (na własną rękę) porozumienie z PPR-em (Władysław Gomułka i Aleksander Kowalski). W listopadzie powrócił z ZSRR Bolesław Bierut i skontaktował się ze mną za pośrednictwem Stanisława Tołwińskiego. Wysunął koncepcję KRN-u. Propozycja padła na dojrzały grunt, była bardzo podobna do mojej koncepcji sprzed ośmiu miesięcy. Wspólnie z Władysławem Kowalskim, gen. Rola Żymierskim i Kazimierzem Mijałem stanowiliśmy komitet organizacyjny KRN-u i jej pierwsze prezydium; Bierut został przewodniczącym, ja wiceprzewo-



dowościowych, a przecież ZSRR chodzi jedynie, przy zmianie granicy, właśnie o ich rozwiązanie.

Ustaliliśmy, że po wznowieniu rokowań wystąpi inny członek PKWN-u w naszym imieniu, gen. Rola-Zymierski, aby zaakcentować, że cały PKWN, a nie tylko jego przewodniczący, domaga się Puszczy Białowieskiej. Gen. Zymierski podziękował Stalinowi za już poczynione ustępstwa i prosił w imieniu PKWN-u o ponowne rozpatrzenie przez rząd ZSRR sprawy Puszczy Białowieskiej. Po chwili Stalin powiedział: „Co ja z wami pocznę? Muszę się porozumieć ze swoimi Białorusinami”.

Nastąpiła przerwa w rokowaniach, a my udaliśmy się do siedziby ZPP. Po mniej więcej godzinie zatelefonoval do mnie Mołotow i — gratulując sukcesu — poinformował, że marszałek Stalin zdecydował o przyznaniu nam 1/2 Puszczy, z Białowieżą włącznie. Wszyscy się bardzo ucieszyli i także gratulowali mi sukcesu, tylko ja się nie cieszyłem, gdyż uważałem, że nam się cała Puszcza należy; ale po głębszym namyśle pogodziłem się z koniecznością zaakceptowania tej granicy. Umowy graniczne podpisywaliśmy jeszcze tego dnia wieczorem.

27 VII 1944 przyjechaliśmy do Chełma i rozpoczęła się gigantyczna praca nad budową Polski Ludowej. Nie dysponowaliśmy wtedy jeszcze bogatymi kadrami, ani środkami pieniężnymi i materialnymi, ani też wielkimi wpływami w narodzie, albowiem w całym okresie wojny i okupacji istniał rząd londyński, a naród go dość powszechnie popierał. PKWN powstał zaś dopiero w ostatniej chwili i na skutek impasu w stosunkach polsko-radzieckich. Gdyby nie powstał PKWN, naszymi wyzwalanymi ziemiami zarządzałby prawdopodobnie AMGOTT, a skutki tych rządów byłyby dla nas nie-dobre. Naród polski długo nie mógł przeboleć utraty ziem wschodnich, ale my mamy czyste sumienie, że zrobiliśmy w tej sprawie wszystko, co było do zrobienia. Powiem więcej: wobec rządu londyńskiego, gdyby mu się nawet udało nawiązać z powrotem stosunki z ZSRR, rząd radziecki nie poszedłby na takie ustępstwa. Wiem z dalszego doświadczenia, że po Poczdamie może i nam nie udało się już uzyskać Puszczy Białowieskiej, a także granicy na Nysie Łużyckiej. Korzystniej było ją ustalić właśnie 25 lipca, choć w Poczdamie jeszcze raz tę umowę podpisywaliśmy — już jako KRN.

Pierwsze lata Polski Ludowej charakteryzowały się dobrymi stosunkami polsko-radzieckimi. Zniszczona Polska uzyskała od ZSRR pomoc w uzbrojeniu naszej armii, otrzymaliśmy na dogodnych warunkach bawełnę i wełnę dla naszego przemysłu włókienniczego, skóry surowe dla przemysłu skórzanego — w Lublinie nawet węgiel — dewizy na pierwsze wydatki z dziedziny polityki i handlu zagranicznego, pomoc przy odbudowie Warszawy, komunikacji, mostów drogowych, kolejowych itp. Ponadto umożliwiono nam drukowanie pieniędzy, gdyż nie dysponowaliśmy jeszcze własną mennicą.

Udało nam się ustalić korzystną — 1:1 — relację rubla do złotego. Wicepremier Mołotow wysunął pomysł ustanowienia wartości rubla na poziomie 10 złotych, ale go przekonałem. 9 V 1945 Stalin zaproponował przekreślenie wspólnych naszych długów i należności, w tym także długów zaciągniętych przez rząd gen. Sikorskiego. Przy dyskusji o należności za broń oświadczył, że „za to się płaci krwią”. Poza tym obiecał pomoc przy odbudowie połowy Warszawy; później zredukował obietnicę do dzielnicy („kwartału”), a skończyło się na Pałacu Kultury i Nauki.

Później sprawy zaczęły się jednak komplikować. Zaproponowano nam organizację spółek mieszanych. Kopalnie węgla na ziemiach zachodnich miały być — wg projektu Stalina — polsko-radzieckie, natomiast w Kałuszu miała powstać radziecko-polska spółka soli potasowej. Takie spółki były zorganizowane we wszystkich krajach demokracji ludowej, łącznie z Chinami i Jugosławią. Ja się na ich powstanie w Polsce nie zgodziłem i odtąd właśnie mam „prawicowe odchylenie”. I choć XX Zjazd KPZR potępił Stalina za błędy w polityce zagranicznej — za te spółki i za Jugosławię — ja nie odzyskałem już zaufania ZSRR. Za

Jugosławię też zarobiłem na potępieniu. Byłem jedynym Polakiem, który odmówił zwrotu jugosłowiańskiego orderu i potępienia marszałka Tito.

Po Stalinie nastał Nikita Chruszczow, któremu też się naraziłem żądaniem zwrotu „Panoramy Racławickiej”. Tę pretensję o „Panoramę” zamieścił w swoich pamiętnikach, wydanych po angielsku.

A przecież przed propozycją spółek mieszanych Stalin odnosił się do mnie bardzo życzliwie. Gdy po ustąpieniu Andrzeja Witosa towarzysze z PPR-u wnioskowali, abym objął także resort Rolnictwa i Reform Rolnych, a ja przyjął go nie chciałem, Stalin zrobił mi uwagę: „Z waszym nazwiskiem powinna być związana reforma rolna w Polsce”. Z powodu tej uwagi resort przyjąłem. Gdy powstał RJN, na bankiecie ku jego czci, na którym byli już oficjalnie ambasadorowie, Harriman i Kierr, Stalin w przemówieniu politycznym mówił o dwóch obozach polskich: antysowieckim londyńskim i przyjaznym „obozie Osóbki-Morawskiego”. Dopiero moja odmowa na propozycję spółek mieszanych spowodowała zmianę stosunku Sta-

dziwił się, że martwimy się losem naszych wrogów, Akowców, kiedy ich pragnęliśmy wydobyć ze Związku Radzieckiego. Sądzę, że już wtedy przemysliwał o monopartii, o zjednoczeniu młodzieży na wzór ZSRR, o kolechozach.

Na ostatnim posiedzeniu KRN-u (we wrześniu 1946) nie było już tradycyjnego exposé premiera, gdyż prezydent Bierut celowo nie zamieścił go w porządku dziennym, co wywołało niezadowolenie posłów. PPR upatrzyła sobie na nowy etat premiera w osobie Józefa Cyrankiewicza, choć był on z kolei dopiero piątym kandydatem PPS-u (Osóbka-Morawski, Szwalbe, Lange, Kołodziejski, Cyrankiewicz).

Do wyborów rządziły w Polsce dwie partie: PPS i PPR; od wyborów do czasu powołania Kominformu — już tylko PPR i uległa jej woli inne „partie”, a od tego czasu decydująco na rządy krajów demokracji ludowej wpływał sam Stalin. Po wyborach, w połowie 1947 r., skończyła się polska droga do socjalizmu, która dawała nam poważne osiągnięcia: panowaliśmy nad inflacją, rozwijaliśmy przemysł i rolnictwo, odbudowywali Wybrzeże,

Naród nasz, który ukochał nade wszystko wolność i niezależność, może być tylko prawdziwym sojusznikiem jako naród w pełni suweren-ny.

Jaka jest droga wyjścia z kryzysu politycznego i gospodarczego? Jak zachować przyjaźń polsko-radziecką i demokrację wewnętrzną zarazem, bez której nie będzie ona poparta przez naród rozmiłowany w wolności? Jak rozwinąć gospodarkę socjalistyczną i uzyskać poparcie klasy robotniczej, od której zależy wydajność pracy i wzrost dochodu narodowego?

Jak podnieść upadłe rolnictwo przez samorząd wiejski, związek indywidualnych rolników i środki produkcji dostarczone wsi, a w zamian za to uzyskać plody rolne dla wyżywienia narodu? Żeby planowana reforma mogła się udać, istnieje potrzeba i konieczność jawnej gospodarki bilansowej. Nie wystarczy raport o stanie gospodarki państwa. Trzeba tę gospodarkę zbilansować, ująć w ścisłe cyfry i analizy: prowadzić bilans ciągły, który nam wskaże dysproporcje, braki gospodarcze, skieruje zainteresowanie w kierunku uzdro-



kołyska

lina do mnie. Mówiło się już wtedy, że będzie zmiana premiera, a funkcję tę obejmie marszałek Rola-Zymierski. Że do tego nie doszło, zawdzięczać należy rosnącej sile PPS-u i jej zaufania w narodzie; wraz z nią rósł też autorytet przewodniczącego CKW.

Bardzo wymowna była opinia politycznej prawicy polskiej, którą powtórzył mi przed wyborami wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski. Pewien prawniczy polityk powiedział: „PPR nie jest dla nas groźna, ona nie ma szans na głębokie zapuszczenie korzeni w polskiej glebie. Groźna jest PPS i jej charyzmatyczny przywódca, który zdobywa opinię publiczną dla swego reżimu”. To również nie podobało się zapewne Stalinowi, który planował już zmiany drogi do socjalizmu i nie życzył sobie wzrostu siły PPS-u oraz doświadczył mojej „niedyspozycyjności” wobec jego woli.

Gdy raz informowałem Stalina, jakie mamy sukcesy w dziedzinie wiązania młodzieży z naszym rządem, odpowiedział krótko i węzłowato: „Sojedinit, sojedinit”. A gdy ubolewałem nad tym, że ludowcy wysuwają takich słabych „przywódców”, jak Janusz S., on oświadczył: „Po co wam lepsz?” Pewnego razu

Warszawę i inne zniszczone miasta oraz przyczółki; rozwijała się spółdzielczość, szkolnictwo wyższe i instytucje kulturalne. Przeprowadziliśmy pacyfikację w kraju, ogłosili dwie amnestie, dwie udane pożyczki narodowe, wykonali z nadwyżką pierwszy plan 3-letni. Zdobyliśmy dobre granice dla Polski.

Dopiero później, w atmosferze zaostrzonego kursu i terroru, zniszczenia autentycznych związków zawodowych, spółdzielczości, samorządu, wprowadzenia prawie przymusowej kolektywizacji i tak zw. „walki z kulakami”, zniszczenia rzemiosła i drobnego przemysłu, rozpoczęły się nasze niepowodzenia i klęski. Przed planem Marschalla polskie życie publiczne odbudowywało się szybciej niż we Francji, Włoszech, Niemczech.

Polski dylemat to odwieczny problem rosyjski. Istniał on w okresie margrabiego Wielkopolskiego, nie przestał żyć w okresie drugiej niepodległości, ani w okresie II wojny i okupacji, a także trwa i dzisiaj. Nasza racja stanu związana jest z przyjaźnią polsko-radziecką, m.in. ze względu na bezpieczeństwo naszych zachodnich granic. Nasza gospodarka więcej pasuje do rynku wschodniego niż zachodniego.

wienia i stworzenia właściwej polityki gospodarczej.

Mieliśmy dotychczas cztery etapy w rozwoju kraju: jeden trzyletni, udany — na polskiej drodze do socjalizmu — i trzy zakończone katastrofami na drodze do nas nie przystosowanej. Jeśli ma nastąpić prawdziwa ODNOWA, to należy wrócić na polską drogę do socjalizmu, inaczej niepewne będą losy naszej Ojczyzny.

Musimy obustronnie — Polska i ZSRR — wykazać dobrą wolę dla osiągnięcia wzajemnej przyjaźni. My musimy przodować w dążeniu do polsko-radzieckiej przyjaźni. Jesteśmy dzielnym, ale średniej wielkości narodem, i w żadnym razie nie jest dla nas korzystne dążenie do konfrontacji. Powinniśmy pamiętać także o 600 tysiącach żołnierzy Armii Radzieckiej, którzy padali na polskiej ziemi w walce o nasze wyzwolenie, i w ciszy czcić pamięć tych wspólnych nam grobów.

Jak wielkim problemem jest przyjaźń polsko-radziecka, tak wielkiej potrzebuje ona ofiary.

EDWARD OSÓBKA-MORAWSKI
Fot. Archiwum

KONTAKTY

Biorąc pod uwagę choćby największe, jak ocenia wielu działaczy „Solidarności”, nasze osiągnięcie: uzyskanie na potrzeby służby zdrowia nowo wznoszonych na cele KW budynków, zdaniem wielu jest bardziej zasługą strajkujących — w imię podobnych spraw — załóg z innych miast Polski i taktyki tutejszych władz partyjnych niżli sukcesem „Solidarności”. Rzeczywiście, czas działań na rzecz pomyślnego załatwienia tego postulatu. Jeszcze parę miesięcy temu tu i ówdzie można było usłyszeć ostre sprzeciwy niektórych działaczy partyjnych. Później, w miarę coraz bardziej powszechnej praktyki przekazywania

Nie sprzyjała też świadomości tymczasowości władz i przekonanie, że w pamięci u ludzi pozostanie raczej to co było złe, niż dobre. Trudno odmówić takiemu przekonaniu racji. Uciążliwym dla wielu stało się nasze sejmikowanie na cotygodniowych posiedzeniach TKZ-u. Demokracja okazała się czymś równie wspaniałym jak i uciążliwym. Wie-

Nie chcę przez to powiedzieć, że opowiadał się za popsuciem tych stosunków. Ale dopóki wiele ważkich problemów władze nie załatwią, dopóty musimy być wstrzebieżliwi w tym „kochajmy się”. Nie gdzie indziej jak u nas bez zgrzytów obraca się karuzela stanowisk. A znane z apodyktyzmu i nadużywania swych stanowisk osoby cieszą się u władz administracyjnych i partyjnych uznaniem. Co najwyżej częściej bywają na lekarskich zwolnieniach, szykując się do ciepłych rent. Ktoś

Obecnie nadchodzi czas wyborów i przy tej okazji uporządkowanie zaniedbanych spraw. Najważniejsze, aby do nowych władz weszli ludzie najlepsi, potrafiący podjąć i skutecznie bronić interesów ludzi pracy. Wybranie nowych władz nie będzie łatwe. Ludzie nadal nie znają się najlepiej. A ci, co zdążyli się poznać — ustąpią innym. Nie uniknie się siłą rzeczy podczas wyborów przypadkowości. I tym obecna sytuacja przypomina czas zebranych założycieli. Może wraz z tym powróci romantyzm tamtych dni?

k 1786-1

MINI-KABARET
PIEKIELKO
PRZEDSTAWIA DRAMAT
ADMINISTRACYJNY
**DIABELSKIE
OBRACHUNKI**

Tym razem cztery nasze znajome diabły leżą na wysuszonych i lichotrawiastych rudawinach byłych bagien kuwaskich w okolicy Wizny nad Narwią. Narwiańskiemu jezior wylaży na brodę. Sapie i dmucha niczym parowa lokomotywa. Tchu nie może złapać, ale, niestety, w końcu tapie.

NARWIAŃSKI: Do stu tysięcy par bezrogich diabłów, już nigdy nie będę ogarem.

BUŻAŃSKI: Pomyliliście się, kolego. Zapewne chodzi wam o wyżłową rasę. Wszakże to one zwykle aportują kaczkę.

NARWIAŃSKI: Jeden diabeł. Tak czy owak zęby mi już wypadają od dzwigania w pysku ptasich ciężarów. Tfu! Pierze do gardzieli przylgnęło, rzygać mi się chce na samo wspomnienie.

DOJLICKI: O czym wy mówicie, koleczy? Raczej wyjaśnić, wszakże ja nietutejszy.

BIEBRZAŃSKI: Co tu wyjaśniać? Sprawa jasna jak wszyscy diabli. Popatrzenie no tylko na tego biedaka, jak dobrze pójdzie, zaraz nam kitę odwali albo wyciągnie diabelskie kopyta, jak to się mówi.

DOLICKI: Wszakże, wszakże chciałbym wiedzieć coś bliższego na powyższy temat.

BIEBRZAŃSKI: Jak się tak upieracie, to mogę wam przybliżyć. O-tóż naszego biednego kolegę odwiedził był w tych dniach jeden z super hiper extra dzyn dzyn diabłów. Grasuje on, rozumiecie, po całym obszarze i w chwilach wolnych od szatańskich zajęć oddaje się łowieckiej pasji. Co mu wtedy na drodze stanie, to w łeb i do wora, po uprzednim, ma się rozumieć, aportowaniu.

DOJLICKI: O ile dobrze zrozumiałem, to właśnie nasz nieodżałowany kolega Narwiański wykonywał ten aport, czy tak?

NARWIAŃSKI: Wstyd mnie o tym mówić, ale się przyznaję. Wszak to dzyn dzyn diabeł, wiecie, ile jeszcze smrodu może zrobić innemu diabłowi, jeśli mu ochota przyjdzie na to?

DOJLICKI: Oj wiemy, wiemy! Ze też cholery nie ma — na takich diabłów? W porównaniu z nimi my jesteśmy diabelskie pętały, nieopieczne piskietą diabla, a nasze sztuczki, które czasem wyprawiamy, przy sztukach tych diablopánów, są jak delikatny, za przeproszeniem, piard.

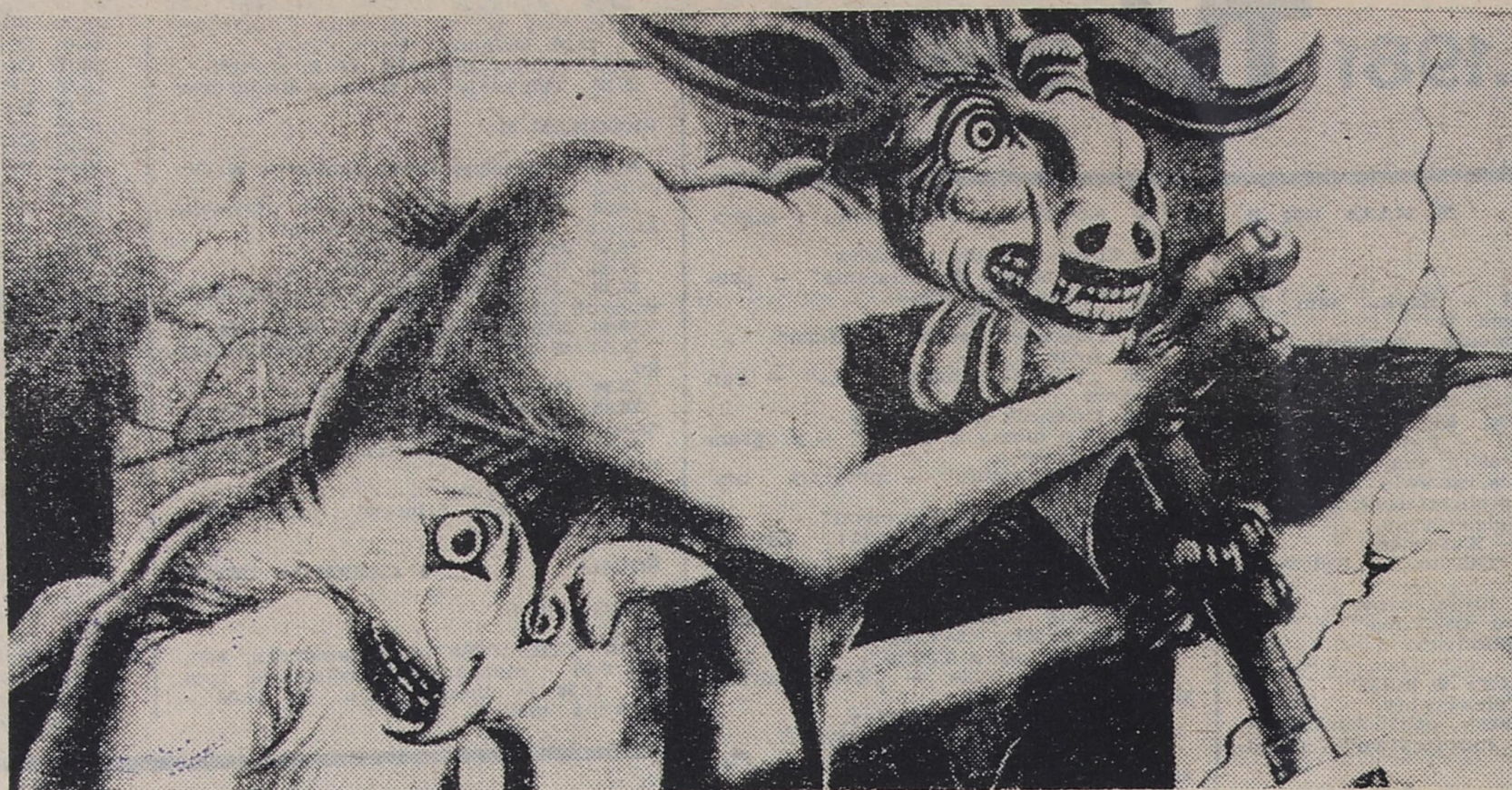
BIEBRZAŃSKI: Ciii... jeszcze który z nich usłyszy! Zaraz pleńum zwoła diabelskie i na pewno nas nie potępi.

BUŻAŃSKI: Właśnie. Społeczność będzie oczekiwała potępienia, a tu nicy z tego! W związku z powyższym mam pomysł. Może od razu potępiamy się sami?

NARWIAŃSKI: Nie liczcie na mnie, kolego. Powiedzieć no tylko, czy ja wyglądam na wariata? Zawodu żadnego nie mam, umiejętności, prawdę mówiąc, także żadnych. Nie, stanowczo mogę być tylko diabelskim działaczem!

Diabły kiwają łbami. W sposób całkowicie demokratyczny, wyrażony przez tajne głosowanie, przyznają mu rację.

WIESŁAW TOMASZEWSKI



Diabeł o dwóch twarzach — fragment obrazu Friedricha Pachera „Chrystus w przedpieklu” z kolekcji budapeszteńskiego Muzeum Sztuk Pięknych. Reprodukacja Gabora Lőrinczego

JAK CIEŁĘ CHŁOPA ZJADŁO

Był raz chłop. A był on trochę taki głupawy. Wyjechał w świat. Idzie przez las i natrafił w lesie na jeden trzewik. Wzion se ten trzewik, bo se myślił: „Może natrafia jeszcze i na drugi, to będę miał do pary”. No i dobrze. Idzie i zaszedł do jednej gospody. Spytał się, czy mogłoby tam zanoć, bo musi iść w świat.

— No, ale po jakimu nie siedzicie na miejscu — pyto go gospodarz — ino musicie iść w świat?

— Ano widzicie, to jest tak. Byłech u wróżki i ta mi przepowiedziała, że urodzę cię. A że jednak nie chcę urodzić cię, toch uciek z domu i wola po świecie chodzić. No i gospodarz doł mu nocleg i kromkę chleba.

Na drugi dzień poszedł chłop dali, a po drodze w lesie znowu stary kapelusz.

— Hm, czyje to może być? Może jeszcze i reszta oblecenia znojdą.

Wzion se kapelusz, wsadził do torby i poszedł dali. Przyszedł do drugiej gospody i pyto o nocleg.

— Chłopecku, chętnie, ale wszystko jest już pełne. Chyba że w izbie kole komory przy piecu.

No i dobrze. Chłop się położył, kapelusz i trzewik z torby wyciągnął i spi.

A temu gospodarzowi ocielila się w nocy krowa. Wzion to małe cię, już po wylizaniu od krowy, i zaprowadził do izby kole komory przy piecu. Zapomniał blank (zupnie), że tam chłop spi. Naroz nad ranem chłop się budzi:

— O ludkowie roztomili, o Panienko Najświętsza, joch cięle powił?

Jak stał, tak wyleciał i zapomniał o tym znalezionym trzewiku a kapeluszu. Lecił do dom, bo wiedział, że teraz go to już drugi raz nie spotka. Zaś gospodarz rano idzie do cielaka:

— O Panbóczku! Cięle chłop zjadł! Został ino jeden trzewik i kapelusz.

Gospodarz blank chory zawołał gospodynię, zabili cięle, pogrzebali w ziemi i żodnymu o tej strasznej

rzeczy słowa nie pedzieli. Takie nieszczęście.

Po roku nasz chłopecek musiał jechać na jarmark po konia i zaś zatrzymał się w tej gospodzie.

Gospodarz go poznał, bo mu strasznie tego chłopca żal było, że tak go cięle zjadło, i naprzód myślał, że to duch, ale jak chłop se zamówił achla (1/8 litra), to wiedział, że duchem nie może być, bo duchy gorzały nie trąbią. No i dali się do godki. Wtedy chłop wyjął, że jak ujrzał to cięle nad ranem przy sobie, to był pewny, że to on je porodził i że się wróżby spełniły.

DONOS JUBILEUSZOWY

Niech mnie anieli na grzbiecie przewiożą! Anim się obejrzał, jak łomotnęło dziesięciogłono. Uczcić by to szampanem lub chociaż szamponem, ale i tego brak przy ogólnonarodowym zmywaniu głów. Na pociechę wypaliłem chociaż z dubeltówki pewnego pudlarza, trafiając szczęśliwie typa, co udawał dzika przy kopcu z kartoflami. Teraz pochrzakuje na łożu śmierci, a kartofle i tak zgnili.

Nie będę ukrywał, że przez swoją działalność, zgodną zresztą z szatańskim statusem, jestem solą w oku pewnych, przyzwoicie usadłonych, egzemplarzy, którzy chętnie widzieliby mnie jako skórę przy swym tapczanie. Czekają tylko, aż mi się włosie zageści. Bałwany! Nie wiedzą, że ich żony pieją z zachwytu na widok moich rogów. Owe pełnokrwiste gbury usiłują podszczypywać mnie z nadzieją, że — liżąc siniaki — nie potrafię bliżej przyrzeć się ich tępemu pustogłowiu.

Wyjaśniam także, iż skrót NSDW, którym opatruję swoje cyrografy, nie jest (n)owym (s)ystemem (d)zielenia (w)ędlin ani też (N)iepodległa (S)iła (D)ziałal (W)stecznych, lecz najzwyczajniej w świecie charakteryzuje moją postać nader skromną, czyli niezależnego samorządnego diabła wcielonego. Zaś moja działalność opiera się na zdrowych zasadach, które wszyscy znają i o żadnym wsteczniectwie nie ma mowy. Co najwyżej — o postępie wstecznym. Bezpodstawne są także aluzje do czerwonego kontusza, w którym składam wizyty. To tak, jakby malować na białe nogi bocianom tylko dlatego, że ma się niedobre skoja-

Wzion i uciekł. A gospodarz zaś opowiedział, jak to cięle zabił, bo jak tu chować takie cięle, i jak je pogrzebali w ziemi.

Naprzód sie gospodarz fest wnerwił, ale jak pomyślał, że mu z sumienia spada tako straszno zbrodnia, to se kwatarka do kupy wypili na to ich wspólne szczęście.

Wy sie terazki z tego śmiejecie, ale to jest prawda. Pierwej taki spraw więcej było. Ludzie nie byli tacy mądrzy, jak to teraz.

(Z opowieści ludowych, zebranych przez Dorotę Simonides)

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Na linii nagnięta doszło znów do starć między niezbędnymi potrzebami, które w swej rozciągłości zostały poważnie zdeformowane, a realnym odzwierciedleniem zabagnionej sytuacji. Ponieważ piekło centralne robi bokami czarcią robotę, więc sytuacja powoli stabilizuje się na poziomie zera (bezwzględne).

Wiedźmy ostatnio przycichły, zajęte naprawą i remontami bieżącymi mioteł przed kolejnym najazdem na Łysą Górę (biedna góra, każdy by wyłysiał). Z braku farb paćkają swoje pojazdy pastą do butów, która — chyba cud — jest w sklepach.

WYTYCZNE

Trzymać kopyto na pulsie!

WSKAZÓWKI

Przyodziać prawdę, żeby nie lała goła.

TWÓRCZOŚĆ

Najmłodsze dziecko demokracji zostało zmaistrowane w kooperacji.

Z upoważnienia NSDW
Czarnego vel Hańczaka
do publicznej wiadomości podał
TADEUSZ CHARMUSZKO

O BABIE, CO CHŁOPA WYSTRASZYŁA

Diabłów to wtedy na świecie więcej było niż dzisiaj autów. Ale też ludzie, jak im coś się nie podobało, to padali:

- nie to wszyscy diabli!
- Do diabła z tym!
- Ty diobelski gładzie!

No i pełno tego było. Ale zawsze już na świecie byli ludzie, co się bali, i ludzie odważni.

Tu, koło naszej wsi, mieszkali ludzie robotni, ale ten chłop zaglądał często do kieliszka, a baby nie slu-

chał, ino wszystko przepijał. A jak kto często pije, to padają, że mu sie na dnie kieliszka diabeł pokazuje. Może sie i pokazywał, ale ten istny sie tego nie boł. Baba se już rady z nim nie mogła dać. A nie była to jakaś niemrawa, ino baba szykowno a robotno. Roz myśli se:

— Musza mojego chłopca tak wystraszyć, że się od gorzały będzie z dala trzymał!

No i dobrze. Wzięła kożuch stary, czarny, wywalila go włosem na wierzch, wsadziła na głowa pończocha czarno, tak że i gęby nie było widać, latarka czerwono do jednej garści, a łańcuch od byka do drugiej i stanęła se kole płota za drzewem, tam, kaj jej mąż musiał przechodzić.

No i jest dwunasta w nocy, a chłop idzie i mo zgryzoty, boi sie

baby, bo zamiast pieniędzy za gęś przynieść, to je przepił. Naroz patrzy... Jezderkusie, coś się ruszo! Nic, ino moja staro z klopem (z trzepaczką) na mnie czeko! Przychodzi bliżej — patrzy: istny diabeł! Ale prawdziwy! Czerwony, czarny, i łańcuch, i rogi! Wtedy dopiero odetchnął i pado:

— Aleś mnie, gładzie, wystraszył, jo myślał, że to moja babo z klopem!

(Z opowieści ludowych, zebranych przez Dorotę Simonides)

POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY